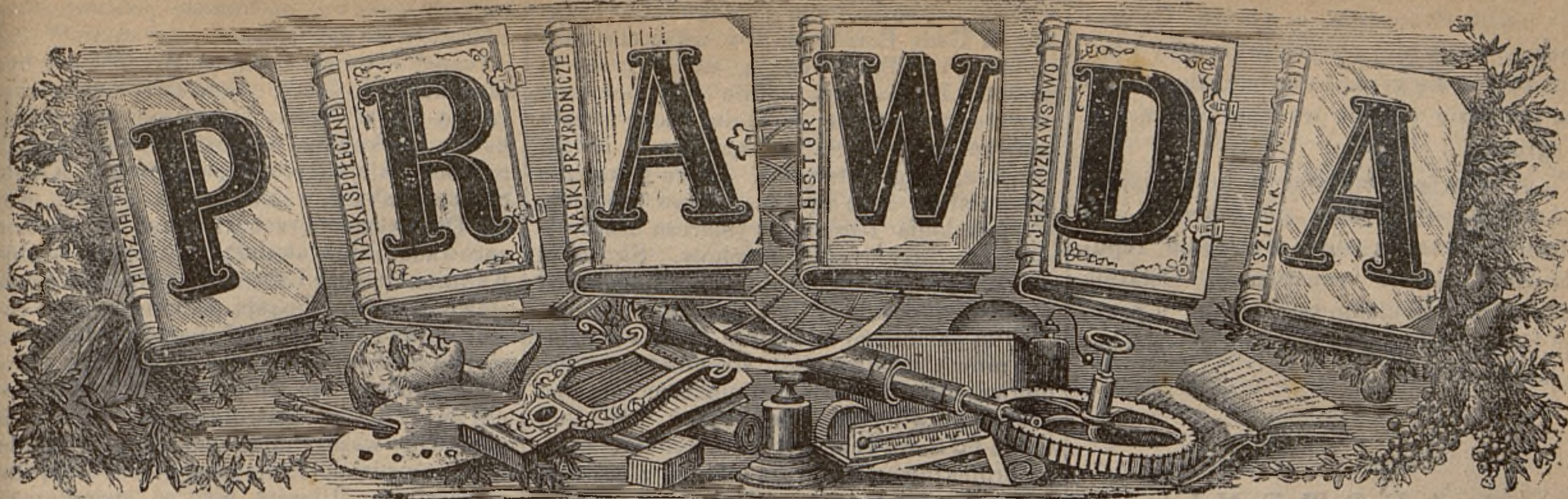
№ 47. Warszawa, dnia 23 (11) Listopada 1889 r. Rok IX.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: *Polityka:* Nowa rzeczpospolita. — Z Austryi p. L. — Tydzień polityczny. — On i ona. On II. p. Cecylię Walewską. — *Życie społeczne:* Listy wiedeńskie p. Stwosza. — Listy krakowskie p. Mora. — Pamiętnik Akademii umiejętności p. W. — Tytus Chałubiński II. p. A. Ś. — *Badania naukowe:* Wśród tegoczesnej fali społecznej. I. Zamiast wstępu p. K. R. Żywickiego. — Światło jako objaw elektryczny II. p. Henryka Silbersteina. — *Literatura i sztuka:* Literatura polska. Dr. T. Mandybur, Krzysztof Opaliński III. p. H. B. — *Fejleton:* Liberum veto p. Posła Prawdy. — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

NOWA RZECZPOSPOLITA.

Ostatniemu z tronów amerykańskich oddawna przepowiadano nieodwołalny a szybki upadek, powstrzymywany jedynie szacunkiem dla charakteru i zasług panującego Don Pedra II. Cesarz liczył już lat 65, poddanych swoich wielkim ciężarem nie gniótł, więc zapewniano, że położy się do trumny w koronie i purpurze, ale jednocześnie zapowiadano, że oznaki dostojeństwa spoczną z nim w grobie i żaden następca stamtąd ich dla siebie nie wydobędzie. Co prawda, nie było takiego następcy, na którego by naród chętnie przelał z władzą miłość. Córka Don Pedra, Izabela, poślubiona jednemu z książąt Orleańskich, hrabiemu d'Eu, odznaczyła się tylko furyactwem klerykalnem. Spiskowała przeciw tolerancyi religijnej, sprowadzała i osypywała dobrodziejstwami zakony i pragnęła z Brazylii uczynić to, co jezuici z Paragwaju. Myślano o wprowadzeniu na tron bezpośrednio jej syna małoletniego, ale ponieważ jego matka zachowałaby nad nim opiekę, więc ten pomysł nie miał wielu i trwałych zwolenników. Ostatecznie więc berło cesarskie miało pozostać w dożywociu Don Pedra. I dlaczegoż mu je wytrącono z rąk przed zgonem?

Jako na koźlicę ofiarną zwalono winę buntu na głowę Izabeli. Niewątpliwie, swym fanatyzmem a jeszcze bardziej nadużyciem władzy podczas nieobecności i choroby ojca obmierzła ona narodowi; ale co najwyżej zabiła w nim wszelką chęć podtrzymania dynastyi. Przyczyny dokonanego przewrotu tkwiły głębiej i dojrzewały dawno. Przedewszystkiem cesarstwo brazylijskie, otoczone zewsząd odmiennymi, republikańskimi ustrojami państw amerykańskich, musiało ulegać ich wpływowi, który dla niego był rozkładowym i tem niebezpieczniejszym, że spotykał w jego łonie pierwiastki a nawet instytucye mu pokrewne. Brazylia bowiem była tylko właściwie z imienia monarchią, w organizacyi zaś swej przypominała rzeczpospolitę. Panujący, prawie całkiem ubezwładniony w swej mocy, wsparty zaledwie na 13,000 niekarnego wojska, a przytem słaby i dobry nie mógł powstrzymać rozpadającej się budowy. Składał dowody zacności uczuć, opiekował się biednymi, dbał o rozwój oświaty, popierał sztuki i nauki—wszystko to zapewniało mu chwałę, ale nie dawało siły. Łatwo było wywróżyć, że gdy jakaś gwałtowniejsza burza zatrzęsie tronem, wierni poddani rozepną nad swym władcą parasol, wprowadzą pod bezpieczny dach, okażą tkliwość, ale piorunów mu w rękę nie włożą. Obecny naczelnik nowego rządu, Fonseca, już przed dwoma laty próbował tron Don Pedra zastąpić krzesłem prezydenta rzeczpospolitej; pokonano go i skazano na wygnanie, z którego wkrótce został odwołany. Ta pobłażliwość dla spisku świadczy, jak dalece zmiana ustroju państwowego godziła się z dążeniami opinii publicznej a nawet z rezygnacyą rządu. Była ona faktem spełnionym, czekała tylko pory właściwej dla uprawnienia się w życiu formalnie.

Co sprowadziło tę porę? Spiskowcy owładnęli telegrafem, który też nie dostarczył tylu szczegółów, ilu potrzeba na dokładne zbadanie przewrotu. Najszerzej przyjęta hipoteza domyśla się, że zachowawcy (plantatorzy), oburzeni za wyzwolenie w roku zeszłym niewolników (około 800,000 par rąk roboczych), sprzymierzyli się z republikanami przeciw rządowi. Być może, iż ci szlachetni mężowie skrzesali ostatnią iskrę, ale to pewna, że nie oni przygotowali materyał wybuchowy, który gromadził się od lat wielu. Gdy zaś taki materyał jest gotów, trudno obliczyć, co go zapali. Bądź co bądź republikanie, niecierpliwi w swych zamiarach, pragnąc je spełnić ostatecznie, a obawiając się poważnych przeszkód ze strony potomków i krewnych cesarza, poświęcili swoje dla niego uczucia korzyściom realnym i wyzyskali sposobność. Rewolucya odbyła się gładko i zaledwie z rozlewem kilku kropel krwi: jednego ministra raniono, drugiego skazano na wygnanie, monarcha zaś został z wszelkimi honorami wsadzony na okręt i odesłany do Portugalii.

Przebieg buntu był tak łagodny, że nawet słabo zaniepokoił giełdy. W interesach Brazylii tkwią znaczne kapitały europejskie, ich posiadacze jednak nie zatrwożyli się zmianą ustroju państwowego, gdyż ona nie sięga głęboko w stosunki kraju i jest raczej zmianą nazwy, niż rzeczy. Don Pedro nie rządził, chociaż panował, Brazylia nie była monarchią, chociaż nosiła ten tytuł, ludność nie była przywiązana do tronu, chociaż go utrzymywała. Po przewrocie też nikt nie spodziewa się żadnych doniosłych przekształceń. Sprowadzi on walki, ale wewnętrzne, takie, jakie widzimy

we wszystkich republikach Ameryki, zażarte walki stronnictw o władzę. Co czas pewien przeciwnicy pokażą sobie zęby i pazury, zaczną się gryźć i szarpać, ale ta choroba przejdzie powoli w stan chroniczny i niegroźny.

Po upadku tedy mocarstwa brazylijskiego Ameryka wyrównała się zupełnie i od brzega do brzega posiada wyłącznie republikańskie ustroje państwowe. Ostatnia gwiazda monarchizmu tam zgasła, a przyznać trzeba, że była to gwiazda najszlachetniejszego rodzaju.

Z AUSTRYI.

18 listopada.

Zmartwychwstanie praw historycznych w Pradze, Zagrzebiu i Buda-Peszcie. — Obrady w sejmie czeskim nad adresem do korony. — Kroaci domagają się Dalmacyi. — Gdzie cesarz austryacki ma mieszkać i jakich ma mieć doradców.

Kierunek, w jakim rozwijają się dzieje Austryi, nigdy jeszcze może nie wystąpił tak dobitnie, jak w tegorocznych obradach sejmów krajowych. Nie biło w nich powolne tętno parlamentaryzmu codziennego; węgrzy, kroaci, a zwłaszcza czesi przeżyli dnie historyczne. W Pradze, w Buda-Peszcie i w Zagrzebiu zabrzmiało równocześnie hasło praw historycznych. Najgwałtowniejszym był przebieg rozpraw w sejmie czeskim, gdzie radzono nad wnioskiem Gregra o adresie do cesarza w sprawie koronacyi. Dzień pierwszy i ostatni miał znaczenie rozstrzygające. Wszystkie stronnictwa zmuszone były wypowiedzieć się jasno, a i lud, stojący po za obrębem sejmu, zaznaczył swe stanowisko w sposób właściwy do niedawna tylko węgrom. Edward Gregr oznajmił wyraźnie, że koronacya niema być aktem kościelnym, lecz także urzeczywistnieniem praw historycznych narodu. Skoro, według twierdzenia dzienników urzędowych, prawo historyczne zginęło w gruzach stuleci, to Habsburgowie wygrzebać je z nich muszą. Nigdy czesi nie uznają konstytucyi obecnej, która gwałci słuszne ich roszczenia. Dlatego tylko wstąpili do Rady Państwa, aby zwalczać konstytucyę i podkopywać ją, nie zaś, aby ją uznać. Jeśli cesarz cofnie przyrzeczenia dawniej poczynione, w takim razie węzły prawno-państwowe, łączące go z ludem czeskim, będą potargane. Nowe pokolenie uchwyciło w ręce swe ster praw czeskich; dla pokolenia tego nie wystarcza bezkrwisty oportunizm staro-czechów. Skoro ci obecnie przejdą do porządku dziennego nad wnioskiem o adres, lud przejdzie do porządku dziennego nad nimi. Rieger wygłosił mowę typową dla stronnictwa pojednawczego. Była ona niejako obroną obu przeciwstawionych sobie zasad. Według niego fałszerstwem jest utożsamienie adresu projektowanego przez Gregra z prawem historycznem czechów. Następnie obszernie rozwodził się nad dawną udzielnością narodu i ze stosunku jego do Niemiec wywiódł pretensye do niepodzielności kraju i do odrębnego stanowiska w państwie austryackiem. Rieger sądzi, że kolej zmian konstytucyjnych bynajmniej nie jest zamknięta. Niemcy, którzy niezawodnie przystąpią do ugody, zrozumieją, że koronacya i dla nich zawiera rękojmie pożądane. Czesi kulturalnie zupełnie dorównywają węgrom, jednak ci nie chcą uznać praw ich politycznych. Rieger radzi im nie zajmować stanowiska wrogiego i wymaga od rządu, aby wogóle bronił czechów przed ciągłemi napaściami prasy, aby występował przeciw antiezechizmowi co najmniej tak silnie, jak przeciw antisemityzmowi. Rzekłbyś, że to mowa Gregra. Lecz nagle występuje Rieger i zwraca uwagę sejmu na niestosowność przypominania cesarzowi danych przyrzeczeń i na nieodpowiedniość chwili obecnej do wystąpienia z adresem.

Mniej dyplomatycznie przemawiał młody książę Schwarzenberg, który wyraźnie zaznaczył, że szlachta nie dąży do unii osobistej, a nawet nie stara się o mniejsze zmiany konstytucyi, które spowodować mogą przesilenie. Przy głosowaniu przyjęto wniosek większości. 37 posłów głosowało za adresem, 113 za przejściem do porządku dziennego. Głosowanie było imiennem i dało sposobność do zajść gwałtownych. Zaledwie oznajmiono wynik, przyjęty milczeniem ponurem, gdy poseł Tilscher zawołał: Niech żyje prawo państwa czeskiego! Na to hasło galerye, natłoczone publicznością, odezwały się chóralnymi okrzykami: Wstyd i hańba! Tchórze! Zdrajcy! Wy chcecie być czechami! Kobiety, zdjęte strachem, cisnęły się do wyjścia. Daremnie marszałek, książę Lobkowitz, wznosi buławę: na sali rozpoczynają się sceny gwałtowne. Książę Schwarzenberg, wskazując na galerye, woła: Oto sprzymierzeńcy wasi! — Wyście sprowadzili ten skandal!— krzyczy hrabia Kaunitz. Gregr i Pesner, spierając się ze staro-czechami, biegają po sali; wrzawa rośnie coraz bardziej, pył napełnia Izbę, posłowie obrzucają się przezwiskami. Wreszcie zdołano opróżnić galeryę: wówczas, nie zważając na nawoływania marszałka, posłowie wszczynają spór nowy. Hańba wam, uwodziciele młodzieży! — wołają staro-czesi. — Milczcie wy, co sprzedajecie święte prawa narodu! — odpierają młodoczesi.

Wobec tych zajść wynik głosowania bynajmniej nie oznaczał tryumfu staro-czechów. Oni, którzy niegdyś sami byli obrońcami prawa historycznego, zmuszeni byli sprzeniewierzyć się własnej polityce. W łonie zwycięzców powstał rozdział. Podczas gdy Rieger wystąpił jako zwolennik przyszłych zmian konstytucyjnych, książę Schwarzenberg stanął na gruncie konstytucyi. Szlachta feudalna, kierująca się własnym tylko interesem klasowym, przekonała się, że na gruncie tym istnieć może wcale wygodnie; niema więc powodu do rozpalania się dla ideałów historyczno-politycznych. Pewna swych mandatów, nie obawia się opozycyi. Inna sprawa ze staroczechami; ich egzystencya polityczna opiera się na wyborach, a prasa i galerye niedwuznacznie dały im do zrozumienia, że sprzymierzeńcy Schwarzenbergów postradali popularność w kraju.

I na południu Austryi zmartwychwstało prawo historyczne. Zaledwie zebrał się sejm kroacki, zaraz poseł Barcic wystąpił z wnioskiem o wcielenie Dalmacyi do „trójjedynego“ królestwa. W sejmie kroackim nie istnieje już najmniejsza wątpliwość, że Dalmacya należy się koronie Zwonimira, nie zaś koronie św. Szczepana. A jednak roszczenia kroatów bynajmniej nie mają tak silnej podstawy historycznej, jak czechów. Przed ośmiuset laty królowie

---

ONA i ON.

ON.

II.

Minął furtkę kolejowego ogródka, minął boczną ulicę, prowadzącą od stacyi, minął wreszcie rynek.

Przed progiem domu coś mu szepnęło: „coby była powiedziała *ona*, dowiedziawszy się o twojej śmierci?“

Służący otworzył mu drzwi, zdjął z niego futro, zaprószone śniegiem i wprowadziwszy do pokoju, wręczył list od pana doktora, zapraszający na partyjkę winta.

Odpisał zaraz, że nie przyjdzie. Był zmęczony i przeziębnięty. Nie miał ochoty wychodzić z domu po raz drugi. Zresztą musiał na pojutrze obrobić ważną sprawę.

Kazał sobie podać herbatę do kancelaryi. Usiadł przy biurku i rozłożył akta w szarej tekturowej okładce.

Pierwszy punkt obrony już był przygotowany. Resztę — miał zanotowaną w formie szkicu, który postanowił w tej chwili rozwinąć obszerniej.

Zabrał się do pisania.

Chwilami składał pióro, brał kodeks w rękę i szperał po nim, szukając odnośnych artykułów.

Pracował tak z godzinę, poczem uczuł zupełne wyczerpanie myśli. Musiał resztę roboty odłożyć do jutra.

Wypił stojącą na boku, chłodną już zupełnie herbatę, zapalił cygaro i rozsiadł się wygodnie w fotelu.

Wzrok jego padł na ogromną szafę o szklanych drzwiach, całą zarzuconą aktami spraw.

Po jednej stronie leżały przeprowadzone już dawniej, po drugiej — bieżące.

Odwrócił oczy z niechęcią.

„Dla kogo pracuję?..“ — pomyślał.

Nie pierwszy raz pytanie to owijało mu się koło mózgu, dręcząc go, znęcając się nad nim, powołując przed pamięć bolesne wspomnienia.

Zaciągał się cygarem, aby odurzyć myśli. Przechyliwszy w tył głowę, puszczał ustami wydłużone kółka dymu: śledził następnie powolny ich ruch, póki nie rozpłynęły się pod samym sufitem, ginąc w porach ścian.

Wypaliwszy cygaro, uczuł pewne podniecenie nerwów.

Nie mógł usiedzieć na miejscu. Podniósł się z fotelu. Stojąc, poskładał papiery i otworzył główną szufladę biurka, aby w niej schować kilka ważnych dokumentów.

Wzrok jego padł na pluszowe pudełko koloru viell'or, rozkładające się nakształt ramek z zawartą wewnątrz fotografią.

Obejrzał się, czy niema służącego w pokoju. Zamknął drzwi na klucz, wyjął pudełko, rozstawił je, starł pyłek ze szkła i podniósł jaknajbliżej do oczu fotografię.

Patrzył na nią długo. W końcu zdawało mu się, że wargi niemej twarzy drżą lekko, a cała postać z fotografii pochyla się ku niemu.

Złożył pudełko i schował je napowrót do szuflady. Westchnął ciężko. Założywszy ręce w tył, zaczął chodzić po pokoju.

„Co *ona* teraz robi?“ — pytał sam siebie, przystając chwilami.

Myśli jego odbiegały od tego pytania, błądząc w innych kierunkach, lecz znów po pewnym czasie wracały do niego.

„Co się z *nią* dzieje? Może jest w biedzie, w nędzy?“

„Dlaczego nie chce przyjmować ode mnie pieniędzy? Dlaczego odsyła mi je, ilekroć jej poślę, nie podając nawet przyczyn, dla których to robi, jak gdyby uważała za hańbę napisanie do mnie?..“

„Może...“

„Może znalazł się ktoś taki, komu łatwiej podziękować za pomoc?..“

Zacisnął zęby, łamał palce w stawach i chodził szybko, hałaśliwie.

Naraz stanął przy oknie i przechylił głowę, jak gdyby czegoś nadsłuchiwał.

„Janku, Jankul..“ — zabrzmiało mu w uszach wyraźnie.

Pieszczotliwy kobiecy głos powtarzał jego imię. Słyszał je wszędzie. Ściany odtwarzały je echem.

Wyciągnął ramiona gwałtownie, namiętnie, jak gdyby chciał niemi objąć niewidzialny przedmiot w powietrzu.

Potem znów opuścił ręce. Po twarzy przebiegł mu wyraz rozpaczy. Zaczął chodzić i chodząc, zataczał się koło ścian, potrącał stojące pod niemi krzesła.

kroaccy, napadający często Dalmacyę, przybrali godność królów dalmackich, a tytuł ten wraz z Kroacyą przeszedł na królów węgierskich. Dalmacya sama niemal przez całe średnie wieki należała do Wenecyi, która odstąpić ją musiała Austryi najpierw czasowo po pokoju zawartym w Campoformie, a następnie i ostatecznie w r. 1814. To też poseł Kunjakin przyznać musiał w sejmie kroackim, że pretensya korony św. Szczepana zgasła wobec objęcia Dalmacyi w drodze nabytku, nie zaś w drodze odzyskania. Od r. 1861 ta ostatnia jest samoistnie reprezentowaną w parlamencie austryackim i zalicza się do krajów jego korony. O ile więc kroaci roszczenia swe opierają na zasadach historycznych, prawo państwowe słuszności przyznać im nie może. Fakt, że przezczas jakiś państwo posiadało kraj pewien, nie może być uważany za prawo historyczno-państwowe, co najwięcej uchodzić może za powód do zaboru. Należy rozróżnić historyę prawa państwowego od prawa historyczno-państwowego, które w różnych okresach jest różnem. Tylko to prawo zwycięży, które ma za sobą nietylko historyę, ale i teraźniejszość i które żyje w przekonaniu wszystkich. I lepiejby może uczynili kroaci, gdyby zamiast bawić się w sofistykę historyczno-państwową, oparli się jawnie na właściwej podstawie swych dążeń: na wspólności szczepowej i na woli narodu, która w Zarze wystąpiła niemniej dobitnie, niż w Zagrzebiu i która rząd austryacki zmusi niebawem do poważniejszego zajęcia się nową „indywidualnością historyczno-państwową,“ dotychczas przez organa rządowe wyszydzaną.

W Buda-Peszcie z większą otwartością i odwagą żądają wyciągnięcia ostatnich konsekwencyj dualizmu. Wiadomo, że do gorących życzeń węgrów, obok zupełnego usamoistnienia armii, należy urządzenie odrębnego dworu i przebywanie cesarza w Buda-Peszcie przez pół roku. Przy obradach nad budżetem członkowie lewicy naprzód w komisyi, a następnie w sejmie rozprawiali obszernie o wydatkach cesarza, czyniąc uznanie listy cywilnej na przyszłe dziesięciolecie zależnem od urządzenia dworu w ich stolicy. Węgrzy nie ustępowali tym razem Izbie posłów angielskich w szczegółowej kontroli. Imieniem lewicy usprawiedliwiał żądanie Gabryel Ugron. Dwór niemiecki mąci harmonię między monarchą a ludem węgierskim; członkowie jego, wychowywani w Wiedniu, stoją pod wpływem obcym; synowie szlachty tracą w Wiedniu poczucie narodowości. Węgrzy chcą, aby cesarz pozostawał w otoczeniu węgierskiem przynajmniej od chwili, w której stanie na ich ziemi. Tisza zwalczał opozycyę, korzystając, podobnie jak Rieger, z drażliwości sprawy. Czy wypada — zapytywał — królowi ukoronowanemu odmawiać kosztów utrzymywania dworu? — Nigdyśmy ich nie odmawiali! — odparła chórem lewica. — Przepraszam — wołał Tisza — kiedy się powiada: przyznamy koszta, skoro zmieni się całkowicie podstawa, na której je wypłacano dotychczas, to oświadczacie tem samem, że w obecnych warunkach odmawiacie ich. Trzeba jeszcze było parę razy rzucić słowo „lojalność,“ a wniosek komisyi budżetowej przeszedłby z ogromną większością. Węgrzy jeszcze przez lat dziesięć zmuszeni będą obyć się bez własnego dworu, a cesarz austryacki przez lat dziesięć będzie miał swobodę przebywania, gdzie mu się podoba i dobierania sobie tych, którzy mają nań wpływać.

L.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

W poniedziałek rozpoczęła swoje obrady w Brukselli konferencya, mająca obmyśleć środki i sposoby stłumienia handlu niewolnikami: wszystkie państwa, prócz zwykłych swych przedstawicieli, przysłały dodatkowych, liczących w swem gronie przeważnie znawców Afryki i jej stosunków. Nie należy sądzić, że jest to sprawa czysto cywilizacyjna; podłożem jej bowiem są interesy polityczne, i dlatego powierzono ją dyplomatom a przebieg rozpraw osłonięto tajemnicą. Nadto kardynał Lavigerie, któremu należy się zasługa ożywienia uczuć humanitarnych, wplótł w to splątane pasmo nici religijne, które zrodziły nawet pogłoskę, że konferencya odbędzie się pod przewodnictwem papieża. Mocarstwa jednakże nie zgodziły się na ten patronat a nawet usiłują osłabić wpływ i udział czynników religijnych. Chodzi tu mianowicie o powierzenie zadania misyom katolickim i o walkę z islamem, który ma być głównym opiekunem i sprawcą handlu niewolnikami. Afryka liczy kilkanaście milionów wyznawców Mahometa, którzy oddają usługi niektórym państwom europejskim, więc korzystający z tych usług nie chcą podejmować wojny krzyżowej. Opiera się temu zwłaszcza Francya, która nadto nie chce przystąpić do ugody, poddającej wszystkie okręty na wschodnich wodach afrykańskich obowiązkowi rewizyi. Poprzednio bowiem próby miały wykazać, że anglicy pod pozorem czuwania nad kontrabandą czarnych ciał, tamowały handel francuski i narażały go na liczne straty. Gdzie tyle i tak często obcych cywilizacyi względów w grę wchodzi, tam nie można się spodziewać od konferencyj zbyt czułostkowych uchwał. Interes odciśnie się na wszystkich, bo on ma głos rozstrzygający, zniesienie zaś handlu niewolnikami w Afryce nie nastąpi z zewnątrz, ale z wewnątrz niej, i nie przez blokadę, wyprawy zbrojne lub misye religijne, ale przez rozwój kultury. Na to wszakże trzeba jeszcze czekać bardzo długo.

Dr. Peters, jeden z pionierów niemieckich w Afryce, o śmierci którego niedawno ogłoszono, codzień ginie i zmartwychwstaje. Znowu znaleziono listy i znowu utrzymuje się przypuszczenie, że wraz ze swym oddziałem gdzieś utknął. Natomiast nie ulega wątpliwości, że Stanley i Emin posuwają się już ku brzegom wschodnim. Czy wiozą z sobą bogate zapasy kości słoniowej — to mniejsza, ale że wiozą Europie sposoby zakucia Afryki w kajdany — to główna zdobycz.

Sejm niemiecki załatwia rządowi wszystkie sprawy z szybkością maszyny. Nawet najtwardszy orzech — ustawa przeciw socyalistom — będzie wkrótce zgryziony. Usprawiedliwiając opozycyę Koła polskiego względem tej ustawy, Józef Kościelski oświadczył, że dawniej socyalizmu nie było w Poznańskiem, ale teraz szczepi go tam rząd swoją polityką niszczącą i prześladowczą. Ponieważ zaś w jednym z okręgów berlińskich socyalno-demokraci wystawili jako kandydata do sejmu rzemieślnika Janiszewskiego, więc *Sławianskaja Korresp.* dodaje do tej nowiny uwagę: „Pomimo za-

---

Burza szalała w jego mózgu.

Potępiał siebie za słowa, wyrzeczone przed pięciu laty nieopatrznie po dziecinnem nieporozumieniu z żoną, które nie warto wspominać.

Potępiał siebie za list, który później napisał, zimny, sztywny, nieludzki. Potępiał siebie za to, że dotąd nie szukał drogi wzajemnego porozumienia się...

Dziś — świat dlań nie istnieje. Życie płynie mu martwo. Nie chce, nie szuka, nie pożąda wrażeń...

Gdyby *ją* mógł mieć teraz przy sobie!..

Cała postać Ludwiki, niewielka, szczupła, stanęła przed nim, jak żywa, nęciła go ku sobie rozchylonemi ustami i oczami, wpatrzonemi weń głęboko...

„Gdyby tak przyszła tutaj teraz, w tej chwili!..“

Droszcz rozkoszy przeszedł po nim. Spuścił powieki. Twarz przybrała wyraz namiętnego upojenia. Przeciągnął się, a potem — opuścił ręce i czekał...

W mieszkaniu ciszę nocną przerywało tylko chrapanie służącego, śpiącego w ostatnim pokoju, syczenie wiatru przez szpary niezaopatrzonych na zimę okien i uderzanie o szyby igieł zbitego śniegu.

Każdy dźwięk objął się rozgłośnie o wytężony i podnieceny jego słuch.

„Napisz do niej!..“ — zabrzmiało mu wyraźnie w uszach.

Usiadł przed biurkiem, wyjął arkusz listowego papieru, wziął pióro w rękę, położył datę na liście i rzucił kilka słów, które następnie przekreślił szybko...

Szukał myślą początku i nie umiał go znaleźć.

Ból, tęsknota wzbierały w jego sercu. Nie umiał i nie chciał panować nad sobą, jak zwykle.

Uczuł nagłe osłabnięcie w sobie energii i woli...

Kilkakrotnie zaczynał list, niedokończywszy jednak pierwszej strony; darł papier i rzucał go w kosz ze zniecierpliwienia.

W końcu machinalnie, jakby bez udziału świadomości, rzucił te tylko kilka słów: „Wybaczmy sobie wzajemnie. Wróć do mnie. Możemy być jeszcze szczęśliwi...“

Doznał uczucia lekkości, jak gdyby ciężar, który od lat pięciu tłoczył mu serce, opadł nagle.

Zaadresował kopertę, złożył papier i przylepił markę.

„Jutro list odejdzie. Będzie go miała we czwartek po obiedzie. W sobotę rano dostanę odpowiedź!..“

Zajrzał do *Kuryera*, aby sprawdzić, czy rzeczywiście tak odchodzą pociągi, jak mu się zdawało.

W tem jakiś głos podszepnął mu: „a może lepiej nie wysyłać listu; może...“

Przyszedł mu na myśl aforyzm, przeczytany kiedyś przed laty w jakimś francuskim romansie: „kobieta nie kocha prawdziwie, jeżeli nie traci ambicyi w miłości...“

„Może wyszydzi, wydrwi słowa, napisane po pięciu latach walki. Może je przeczyta z kochankiem...“

Burza w nim szalała.

Byłby rwał włosy z głowy, byłby palcami skrobał mury ścian, gdyby nie budząca się na nowo wola, która wołała: „panuj nad sobą!..“

Oparł łokcie o biurko, wpił palce obydwóch rąk we włosy i, wpatrzony w adres, nie zaschnięty jeszcze na kopercie, siedział tak długo.

Gdy wstał, czoło miał zmarszczone, brwi ściągnięte, powieki i żyły w skroniach nabrzmiałe, pulsujące szybko...

Podarł zaadresowaną kopartę i zawarty w niej papier na drobne kawałki, rzucił je w piec.

Pogasił światła. Ze świecą w ręku przeszedł do sypialnego pokoju i rzucił się na łóżko w ubraniu. Długo jeszcze leżał na wznak z szeroko rozwartemi oczami, wpatrzonemi w sufit...

Szary zimowy ranek zaglądał przez szyby okien, gdy zasnął.

Niespokojne majaczenia podrzucały go, wstrząsały nim całym...

Nazajutrz służący nie mógł go się dobudzić.

Wstał dopiero koło południa i spóźnił się do sądu.

Sprawa pani X., procesującej żyda o niedotrzymanie umowy, spadła z wokandy.

Cecylia Walewska.

pewnień Kościelskiego, grunt w Poznańskiem, jaw widzimy, nie jest zbyt przyjazny dla rozrostu socyalizmu, skoro socyaliści niemcy postawili swego kandydata polaka nie w Poznaniu, ale w Berlinie." *Sław. Koresp.* widocznie nie zna tej sprawy, chociaż ona była głośną. Janiszewski jest fizycznym i umysłowym kaleką, zrujnowanym przez długoletnie więzienie; kandydaturę ofiarowano mu naprzód w nagrodę za wycierpianą karę, a powtóre dla okazania, jak daleko sięga karność zwolenników tej partyi, którzy otrzymawszy polecenie, oddadzą swe głosy człowiekowi nieznanemu i półidyocie.

Izba francuska rozpoczęła swoje prace, wybrawszy na przewodniczącego Floqueta. Co wyjdzie z mgławicy, nazywanej zjednoczeniem żywiołów umiarkowanych, dotąd jeszcze nie wiadomo. Ale chęć drobnienia się na maleńkie grupki występuje dość wyraźnie.

Krótko żyły kaczki dziennikarskie, puszczone z powodu podróży ces. Wilhelma i spotkania się monarchów w Insbruku. Byli tak szczęśliwi, a raczej dowcipni jasnowidze, którzy najdokładniej powtórzyli czytelnikom — rozmowy głów koronowanych, ale to ich szczęście lub dowcip trwały niedługo. Co jedna gazeta doniosła, to dziesięć zaprzeczyło. Wszystkie zgadzają się w tem, że pokój został zapewniony—co słyszeliśmy z rozmaitych ust miliard razy.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY WIEDEŃSKIE.

16 listopada.

Fonograf w Wiedniu. — Wieczorek urządzony przez stowarzyszenie prasy zagranicznej. — P. Dutertre-Pluciński i p. Irena Abendroth. — Przyszłość fonografu.

Żaden artysta nie wzbudził jeszcze takiego zapału, żaden mówca tylu nie udzielał posłuchań, co fonograf Edisona w Wiedniu. Wszystkie warstwy stolicy naddunajskiej przez czas jakiś nim tylko się zajmowały. Przyrząd Edisona wyprzedził w Wiedniu grafofon; zastępca wynalazcy grafofonu, niejaki Seligmann, pragnął pozyskać opinię publiczną dla tego aparatu, nabytego już przez wielką spółkę nowojorską. Wynalazca, Karol Summer Tainter, utrzymuje, że wyprzedził Edisona i że jego grafofon mniej jest złożonym. Popis odbył się w klubie dziennikarskim „Concordia." Grafofon wygląda jak maszyna do szycia. Mechanizm jego opiera się na płytce, połączonej z drobnym rylcem, przenoszącej drżenia na tabliczkę woskową, z której znowu przechodzą one na płytkę. Pierwsi aktorowie i śpiewacy wiedeńscy próbowali grafofonu, a dyrektor opery Jahn najbardziej nim był zachwycony, twierdząc, że śpiewa zupełnie jak Winkelmann, a znacznie jest tańszy. Reszta publiczności mniej była upojona przyrządem, który sprawiał zawsze niemiłe szmery uboczne. Jeżeli już wobec grafofonu ludzie niemieli zo zdumienia, to fonograf Edisona budził zdumienie, którego objawy zewnętrzne posiadały komikę niezrównaną. Widzieliśmy fonograf na wieczorze, urządzonym przez stowarzyszenie korespondentów pism zagranicznych. Uprzedzić należy, że wieczorek ten, który w przepysznej sali Ronachera zgromadził liczną publiczność, reprezentującą wszystkie niemal ogniska umysłowe Wiednia, dzięki przewodniczącemu, p. Szczepańskiemu, miał po części fizyognomię polską. Rozpoczęła go deklamacya p. Dutertra-Plucińskiego, który wracając z występów gościnnych we Lwowie, zatrzymał się tutaj i zyskał oklaski huczne; wieczór jego recytatorski, który w parę dni po owym występie odbył się w sali Bisendorfera, udał się wcale dobrze. Pisma wiedeńskie jednogłośnie uznały uzdolnienie artysty do ról tragicznych. Zalicza on się sam do idealistycznej szkoły aktorskiej; dla nas w deklamacyi jego było zbyt wiele przesadnego patosu i niewolniczego naśladownictwa deklamatorskiej maniery francuzów. Z większem jeszcze powodzeniem wystąpiła na owym wieczorku p. Irena Abendroth, której głos po pobycie we Włoszech nabrał siły. Młoda śpiewaczka usunęła szczęśliwie i drugi niedostatek, który przeszkadzał jej powodzeniu na scenie wiedeńskiej opery: figura jej, zbyt nikła poprzednio, zaokrągliła się w przepisany sposób. Panna Abendroth śpiewa i wygląda więc obecnie wcale dobrze, nie możemy jej atoli oszczędzić zarzutu, że podobnie jak p. Dutertre zapatrzył się na artystów francuskich, ona kopiuje niewolniczo manierę śpiewaczek włoskich.

Ale czas przejść do fonografu. Zastępca Edisona, Wangemann, człowiek z niewyczerpaną swadą, lecz na szczęście nie bez humoru, opowiadał, w jaki sposób technik amerykański wpadł na swój wynalazek. Podczas jakiejś wizyty urzędowej oparł dno cylindra na ręce, a mówiąc, czuł, że dno to drżało, tem bardziej, im głośniej i im bliżej cylindra brzmiał głos jego. O ile dokładniej odda płytka metalowa drżenie głosu ludzkiego — pomyślał i rozpoczęły się doświadczenia, których rezultatem był fonograf. Dotychczas tylko jedna osoba może go słyszeć z całą dokładnością, skoro przyłoży do uszu dwie rurki kauczukowe, połączone z aparatem. Próba rozesłania dźwięków na całą salę za pomocą tuby powiodła się słabo. Tem potężniejszem było wrażenie, skoro po przyłożeniu rurki słyszałeś to oratoryum Hähndla, grane przez orkiestrę i organy, to głosy śpiewaków i aktorów wiedeńskich, Sonnethala, Winkelmanna, Lehmanównej, lub całego towarzystwa, które po popisie Lehmanównej wołało „brawo" i śmiało się; to znów echa manewrów wojskowych i „hurra!" wydobywające się z kilkudziesięciu tysięcy piersi, a zaklęte w mały walec woskowy. Z głosem Bismarka, który zaśpiewał do fonografu: „Allons enfants de la patrie," obchodził się p. Wangenmann nader ekonomicznie; za powrotem do Ameryki walec ten będzie odrobiony w kilku tysiącach egzemplarzy. Wszystkie, użyte tego wieczoru, powtarzały głosy w nich zawarte już po paręset razy. Nie można było pozbyć się uczucia, że słyszymy głosy duchów niewidzialnych a bliskich, obecnych; nie są to dźwięki maszyny, lecz tony ludzkie z wszystkiemi fizyognomicznemi ich cechami.

Wangemann dokładnie opisywał budowę fonografu, lecz ani on, ani sam Edison nie umieją wytłomaczyć, dlaczego oddawanie głosów odbywa się z taką naturalnością i dokładnością. Aparat ten prześcignął nadzieje swego twórcy. Jest coś wzniosłego w tym wynalazku, uczynionym raczej na drodze artystycznej niemal intuicyi, aniżeli ścisłego obliczenia matematyczno - fizykalnego. Możnaby Edisona nazwać Bethowenem mechaniki; podobnie jak ów wielki muzyk pisał kompozycye klasyczne, będąc głuchym, tak Edison, nawpół głuchy, wynajduje fonograf.

Nowemi były wiadomości udzielone przez Wangemanna co do praktycznego zastosowania tego przyrządu. Podczas gdy do niedawna uważano go za „piękną zabawkę," obecnie w samym New-Yorku 2,000 biur używa fonografu, a naczelnicy ich oszczędzają codziennie po cztery godziny czasu. Okazuje się więc, że przedewszystkiem jest to jeden z najdzielniejszych środków w wielkiej walce człowieka z czasem i przestrzenią. Wobec tego, że głos ludzki przeniesiony w nim być może z jednego krańca świata na drugi, przestrzeń znika formalnie. Z fonografu korzystać będą naprzód biura kupieckie i urzędy państwowe; dalej nauczyciele śpiewu. Atoli Edison już przed jedenastu laty sfonografował powieść o 500 stronach; zamiast książek drukowanych, będziemy kiedyś mieli książki fonografowane, które nie natężając oczu, same głośno będą się odczytywały. Cokolwiekbyśmy obecnie powiedzieli o przyszłem zastosowaniu tego przyrządu, niezawodnie, jak nas poucza historya wszystkich wielkich wynalazków wieku naszego, w rzeczywistości fantazye te o zmianach stosunków ludzkich będą jeszcze prześcignięte. Z dziwnem uczuciem w obliczu fonografu nasuwa się na myśl róg Münchhausena, w którym zamarły pieśni pocztyliona, lub owa scena z Rabelais'go, kiedy Pantagruel słyszy na morzu topniejące słowa. Ów Marcier, który w r. 1772 napisał utopię satyryczną „Rok 2400" i opowiadał o maszynie, ustawionej podówczas w Wersalu, a oddającej zgiełk wojenny, nie wyobrażał sobie, że maszyna taka wynalezioną zostanie istotnie i to o pięćset lat wprzódy. Fonograf rozwiązuje też po części kwestyę przedłużenia życia ludzkiego w wiekuistości: głos ludzki stał się nieśmiertelnym. Krewni zachowają sobie głos drogich im nieboszczyków, narody — głosy sławnych ludzi. Nadeszła wreszcie chwila nieśmiertelności i dla śpiewaków lub aktorów, którym, według słów Schillera, potomność wieńców nie splata. Lecz w tym względzie pono największą na razie korzyść odniesie — przemysł spirytystyczny.

Stwosz.

LISTY KRAKOWSKIE.

Pamięci Chałubińskiego. — Na pogorzelców. — Ze względu na cel. — Z innego względu. — Mały zamach na wielkiego przedsiębiorcę. — Przypalona pieczeń. — Pudła. — Odmiana w *Czasie*, czyli z lilii tulipan. — Drugi zjazd historyków polskich we Lwowie. — Z koncertu. — Poseł Madeyski o sądownictwie austryackiem. — Z Wadowic.

Przerósł głową karłów chwili, więc na nią nie padały ich cienie; pełen światła szukał jasności, bo go nie olśniewała; żył szczęściem drugich, umarł umiłowany.

Chylę czoło przed tobą wielki *człowieku*, wielbię twe czyny rozgłośne i ciche, a kiedy z czcią powtarzam twe imię, zdaje się, że słyszę jakbyś mówił: tyle warte serce, co rozum!

Żałobne szaty pokrewnych ci duchem liczyć bez mozołu, gdy w mrowisku naszem biegają tysiące tysięcy; kiedy karzeł wspina się na palcach, powiadamy, że rośnie, a gdy zaledwie uwiliśmy wieniec, drobiazg znużony opadł już na pięty. Więc kiedy po złudzeniach i zawodach wzrok spocznie na serdecznej prawdzie, to i oderwać go trudno, a gdy z gwiazd wielkich jedna zgaśnie, mrok ogarnia oczy a serce żal i tęsknica.

Nie zapomniemy ciebie, zmarłeś umiłowany.

* * *

Zbieramy chleb i odzież dla pogorzelców w Świątnikach; była to osada rzemieślników ślusarskich, którzy wysoko doszli w tej gałęzi przemysłu domowego. Osada rozszerzała się, warsztatów przybywało a zdolniejszym kraj udzielał zasiłków dla wykształcenia w ślusarstwie. Poseł Weigel był zawsze wymownym rzecznikiem Świątniczan, a dzisiaj, kiedy warsztaty spłonęły i dobytek zgorzał, on pierwszy zakołatał do sejmu, do ofiarności publicznej i rady miasta, malując przygnębiająco nędzę zgłodniałych i ziębniętych pogorzelców. Na grosz ofiarny nie mamy osobnej skrytki w szkatułce, wydajemy go albo kosztem pewnej przyjemności, której się zrzekamy, albo w zamian żądamy przyjemności.

Nieodzownem następstwem klęski wody, ognia, czy powietrza morowego musi być teatr amatorski. Miłosierdzie nie zawsze może się wytańcować, ale niema przeszkody na wygranie się, tem bardziej, że wszystko składa się łatwo i bez wielkich zachodów. Wybór sztuki niekłopotliwy: bierze się pierwszą z brzegu, napisaną „specyalnie dla teatrów amatorskich“ z małym sensem, ale z wielką miłością i ożenkiem na końcu; amatorki dają się prosić, wymawiając się brakiem zdolności dramatycznych, ale ulegają ze względu na cel dobroczynny. Z uderzeniem godziny którejś, zaczyna się barbarzyństwo, rozstajesz się z własną skórą— ze względu na cel. Nazajutrz dowiaduje się kraj z kroniki pism codziennych, że panna X. zatoczyła przed widzami koło wdzięku, że panna Y. przeszła samą siebie, włożywszy na młodociane barki cały ciężar akcyi a pani Z. odkryła tyleż komizmu, że publiczność długo uspokoić się nie mogła.

I ma to sens? Niema, ale tu nie szło o sens, tylko o rozrywkę na cel dobroczynny. Odpowiedź taka zalepi usta jak plaster, a gdy jeszcze ochotnie poddadzą się porównaniu z teatrem, ze sceną narodową — to drugi plaster. Oblepiłbym cię nimi, przedsiębiorco, a gdybyś spowity i bezwładny, stał opatrzony numerem w muzeum narodowem, karmiłbym cię trzy razy co dnia tem obrzydzeniem, jakiego doznajemy co wieczór w teatrze. Gdyby nie ważniejsze sprawy, przedefilowałby dzisiaj przed czytelnikami personel teatru krakowskiego na barwnem tle gospodarki i smaku artystycznego kierowników sceny. Odkładam szopkę do przyszłego listu; dowiaduję się zaś, że miasto ma zamiar odkupić od rządu dzisiejszy budynek teatralny a po wybudowaniu nowego, w starym urządzić dom rozrywki i oddać go w przedsiębiorstwo dzisiejszemu dyrektorowi teatru. Nowina ta urozmaicona żartobliwemi przypuszczeniami obiega głośno, na razie jednak nie wiem, czy jest wiarogodną; gdyby nawet i nie, to pocieszającym jest wniosek jednego z radców miejskich, domagający się zniesienia wstrętnego przywileju, na mocy którego teatr krakowski pobiera dochód z koncertów, cyrku, karuzelu, teatru pcheł i wszelkich widowisk urządzanych w budach stradomskich; Rada po rozwadze dochodów i zasiłków, jakie bogacą kasę teatru, przychyliła się do wniosku.

Była tu z odczytem p. Ćwierciakiewiczowa i przy jednym ogniu upiekła dwie pieczenie. Tą drugą pieczenią była korespondencya jej do *Bluszczu* czy czegoś podobnego, gdzie przypaliła tutejsze modniarki i swojską pracę, robiąc natomiast piankę ze sklepu „Louvre,“ gdzie handluje francuskiemi szmatami p. Lubicz, reżyser teatru. Niegodzi się robić takich sosów; uwzględniając szastanie się komisanta, sprowadzającego gotowy towar z Paryża i Wiednia, trzeba było pamiętać o setkach kobiet rujnujących własne zdrowie dla pracy, która przewyższając nieraz wyroby zagraniczne smakiem, zawsze ustępowała im w cenie. Zapewnie, w sklepie p. Lubicza jest ruch i znaczny zbyt tego towaru z nazwiskiem i bez nazwiska; ależ ile czynników składa się na to powodzenie. Aktor przymierza kapelusz, aktorka układa przód; ten sam aktor, który był wczoraj księciem na scenie i nosił czoło wyniośle, dzisiaj chyli je do połowy wysokości pierwszej lepszej kupującej. A jego sklepowa, tak łudząco przypominająca ze sceny różne przedmioty, jakaż zbliska? Ciekawość wiedzie, francuszczyzna zachwyca, obecność kilku odwiedzających aktorek pociąga, a już napawa dumą i rozkoszą, kiedy sam reżyser „Louvru“ wśród galaretowatych ukłonów odniesie pudła do pojazdu. Pudła!

Zachęta do kupowania wyłącznie w takim magazynie, zachęta bezwzględna, nazywa się czynem nieobywatelskim, chociażbyśmy pojęli spółzawodnictwo handlowe jaknajszerzej.

Pojęcia oczywiście są różne: np. *Czas* dotąd pojąć nie może odwagi posłów konserwatywnych, z jaką uroczyście, głośno wyparli się go na zebraniu „unii konserwatywnej“ w sejmie. Powiedzieli wyraźnie, że skoro jest rozpowszechnianem mniemanie, jakoby *Czas* i *Przegląd* były organami stronnictwa, oni właśnie z polityką tych pism nie zgadzają się; powiedzieli wyraźnie, że mniemanie to może stronnictwu szkodzić na zewnątrz, a wewnątrz stać się czynnikiem rozkładowym. Nie wypada pytać, co się potem działo *Czasowi* na wewnątrz, ale dowodem, że się coś działo, jest nowość w dzienniku—t. z. „artykuł sytuacyjny.“ Codzienne zaglądanie w *sytuacyę* rozruszało staruszków, bo proszę posłuchać, czem obecnie zajmują swoich czytelników. „Stary a lubieżny książę G. ścigał młodą a piękną wdowę, nad którą miał powierzoną opiekę, prześladowaniami miłosnemi. Idąc za radą doświadczonej przyjaciółki, owa wdowa, aby uwolnić się od ks. G., pewnego razu rzekła doń: Niech się stanie twoja wola, ale odrazu. Ks. kanclerz chwycił za kapelusz i laskę a wydalając się z pokoju, rezolutnej pani zapytał: Radbym tylko wiedzieć, co za szelma dał pani tę radę.“

Odmieniec dalipan, z lilijki tulipan!

Ponieważ taki zwrot należy do historyi, wspomnę o odezwie rozesłanej przez komitet przyszłego zjazdu historyków polskich we Lwowie. Czyniąc zadość powszechnie odczuwanej potrzebie, a zarazem wypełniając mandat zjazdu Długoszowego, postanowiło Towarzystwo historyczne zwołać drugie zebranie w lipcu 1890 roku. Przedmiot obrad stanowić będą nauki historyczne w najobszerniejszem znaczeniu, dotyczące jakiejkolwiek strony dziejów dawnej Polski. Przedewszystkiem będzie zadaniem zjazdu przedsięwziąć próbę zgromadzenia i ujęcia w jedną całość owych licznych, ale dotąd porozrzucanych i luźnie stojących zdobyczy naukowych z ostatnich czasów. Obok tego nie będzie on mógł przepomnieć o innem jeszcze ważnem zadaniu, które go czeka. Jakkolwiek zjazd Długoszowy załatwił już wiele pytań, dotyczących metody badania historycznego i sposobu wydawnictwa źródeł dziejowych, to jednak nie wyczerpał ich wszystkich; nadto zaś wobec postępu nauki i coraz dalej sięgających odkryć źródłowych, nasunęły się w ostatnich czasach nowe kwestye wydawniczo-metodyczne, któremi zajmie się także zjazd drugi, wstępując w ślady Długoszowego. Prezesem komitetu jest Ksawery Liske, sekretarzem Oswald Balzer.

Dzięki staraniom dyrektora Towarzystwa muzycznego p. Barabasza, słyszeliśmy Barcewicza; ponętny program i przystępne ceny sprowadziły sporo oklaskujących dłoni, które już złożyły się do nowego oklasku na wiadomość o możliwem przybyciu p. Szlezygier na następny koncert Towarzystwa.

Lwów słyszał posła Madeyskiego, który wyśpiewał prokuratoryi austryackiej nową melodyę na stary temat sądownictwa; poseł mógł w sejmie wypowiedzieć niejedno, o czem dziennikom pisać niewolno bez narażenia się na konfiskatę. I powiedział. Wnioski dotyczyły urzędów oskarżyciela publicznego, sędziego śledczego i przewodniczącego przy rozprawach karnych, dalej ograniczenia władzy prokuratora i sądziego śledczego w przygotowawczym okresie procesu karnego a rozszerzenia natomiast władzy Izby radnej trybunału. W bezstronnem oświetleniu ujrzeliśmy ze smutkiem tam i sam chodzące szale wagi sprawiedliwości, a widząc powątpiewaliśmy o dogmacie, że ustawy i sądownictwo istnieją dla ochrony najwyższych dóbr ludzkich, wolności, czci, życia i mienia. Władza powołana do czuwania nad tem dobrem ludzkiem, jeśli popada w pomyłki, wyrządza cięższą krzywdę jednostce, aniżeli wyrządziłby ją mógł zbrodniarz — i w takim razie grozi społeczeństwu podwójne niebezpieczeństwo, raz ze strony poszczególnych złoczyńców, powtóre ze strony władzy.

Pytanie, na które nie odpowiadano, o ile sądownictwo karne w Austryi daje dostateczną rękojmię dla obrony wolności i czci obywatelskiej, zadał sobie równie p. Madeyski. Zdaniem jego, pod względem samego wyrokowania, rękojmia jest dostateczną; oskarżyciela równoważy obrońca, trybunały orzekają zbiorowo, przysięgli są głosem społeczeństwa. Tylko przewodniczeniu w rozprawach karnych nie zawsze spoczywa w odpowiednich rękach; urząd trudny, który w Angli stanowi najwyższą godność sędziowską a wszędzie indziej wymaga najdzielniejszych ludzi. U nas rozprawa karna staje się widownią waśni między prokuratorem a przewodniczącym, co oczywiście musi razić opinię publiczną, a już ją wreszcie i oburzać słusznie, jeżeli przemienia się w tragikomedyę.

Znacznie gorzej przedstawia się okres śledztwa. Prokurator i sędzia śledczy wykonywają tu sprawiedliwość sami i uważają swą pracę za szkic obrazu, który ma być malowany na rozprawie. Trzymają się oni zasady, że wolność osobista, dokąd oskarżony nie zostanie uznany niewinnym, należy do nich. W innych krajach trzymają się zasady wręcz przeciwnej. Jako przykład lekkiego szafowania czcią i wolnością ludzką, przytacza dane statystyczne. W r. 1874 niewinnie oskarżonych w Austryi było 36%. Jeszcze gorszy stosunek zachodzi co do liczby aresztowanych. W r. 1874 liczba aresztowanych niesłusznie wynosiła 48%, w 1884 r. 68%, w 1886 r. 74%! Wymowne cyfry! Więzi się na proste doniesienie, bez sprawdzenia wiarogodności; doniesienia te nadchodzą od poszkodowanych, policyi i żandarmeryi, a jak te ostatnie działają, wystarczy fakt, że w samym Lwowie w ostatnich latach popełniono kilkanaście morderstw, których sprawcy nie zostali wykryci. Żałuję, że nie mogąc zabierać wiele miejsca, pominę jaskrawe przykłady, których mówca nie szczędził; ograniczę się na jednym, pierwszym lepszym. W pewnej miejscowości umiera nagle proboszcz. Żandarmerya wpada na plebanię i zastaje tam nauczyciela ludowego. Zakładają mu kajdany i wobec całej ludności i dziatwy, którą uczył, prowadzą do sądu. Podczas gdy nauczyciel siedzi w więzieniu śledczem, lekarze stwierdzają przy sekcyi, że ksiądz umarł na — apopleksyę.

Cóż myśleć o sądownictwie, które popada w takie pomyłki? Czyż człowiekowi, który niewinnie dostał się do więzienia śledczego, jest kto w stanie wynagrodzić krzywdę?

Wielką jest również lekkomyślność w uwięzieniu osób, powoływanych na świadków przy rozprawach karnych, a p. M. powołuje się na prokuratora, który wcale się nie wypierał, iż chodziło mu przy rozprawie o odjęcie środków obronie, a nie o rzecz samą.

Młodzież sądowa pragnie karyery—najłatwiejsza droga przez prokuratoryę; żeby tam się dostać, potrzeba zwrócić na siebie uwagę—najłatwiejszy zaś sposób zwrócenia na siebie uwagi: zamykać, kogo się da. Wietrzy tedy na wsze strony zbrodnie, rewolucyonistów i zamyka każdego, kto mu się pod rękę nawinie. Drogą tą zostaje się podprokuratorem. Na tem stanowisku nie ustaje w gorliwości, bo chce zostać prokuratorem a gdy nim zostanie, ma już tak pesymistyczne okulary, jest już w takiej ekstazie, że go nic z tej drogi nie sprowadzi. Odtąd wierzą, że „każdy człowiek nadaje się do kryminału, a jeżeli chodzi wolno, to tylko czysty przypadek.“ Taki prokurator zostaje następnie radcą i powierzają mu przewodnictwo w procesie karnym!

I tak prokurator, wolny od krytyki w dziennikach, bo je konfiskuje, usłyszał niejedno cierpkie słowo w sejmie, a usłyszy chyba jeszcze więcej, bo przykład p. M.

podziała zachęcająco. Najtrudniej u nas ukazać złe.

Najwięcej telegramów odbieramy obecnie z Rio-Janeiro i Wadowic; te ostatnie donosząc, że nie ukończono jeszcze czytania aktu oskarżenia, podają ciekawą nowinę. Oto dostrzeżono, że jeden z sędziów przysięgłych mieszka razem z oskarżonymi — na wolnej stopie — śpią równie razem, tylko oskarżeni w łóżkach, a sędzia na podłodze.

Mor.

PAMIĘTNIK AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI.

W piętnastą rocznicę swego założenia, na pamiątkę tego najdonioślejszego w dziejach swych wypadku, Akademia umiejętności w Krakowie ogłosiła „Pamiętnik piętnastoletniej działalności,“ księgę większych rozmiarów, zawierającą obraz jej 15-letniego istnienia, ruchu naukowego w tym czasie oraz wiadomości o jej wydawnictwach, zbiorach i funduszach.

Wobec skąpych a zupełnie niedokładnych wiadomości, jakie ogół posiadał o Akademii, pamiętnik tego rodzaju byłby wydawnictwem ważnem i ze wszech miar na uwagę zasługującym, gdyby ręką piszących go kierowała bezstronność naukowa, miłość prawdy, bezwzględna ścisłość i rzeczywista chęć pouczenia społeczeństwa o działalności najwyższej instytucyi naukowej. Tak opracowanego „Pamiętnika“ ogół ten miał prawo domagać się i spodziewać po pewnym znaczniejszym okresie, gdy z natury rzeczy nie może śledzić nieustannie i częściowo prac Akademii i jej wewnętrznej gospodarki. Wszystkiego tego jednak nie znajdujemy w „Pamiętniku.“ Od pierwszej do ostatniej kartki sprawia on wrażenie książeczki pamiątkowej, w której członkowie Towarzystwa wzajemnej admiracyi spisują sobie wzajem pochwały i wydają patenty wielkości. Nie zdziwi fakt ten nikogo, kto cokolwiek chociaż obeznany jest z dzisiejszymi stosunkami Akademii krakowskiej; wszelako chwalcza tendencya sprawozdania wprawiła w zdumienie nawet tych, którzy mieli sposobność przyzwyczaić się do najzuchwalszych wybryków stańczykowskiego kołpaka.

„Zasilana w swych przedsięwzięciach z publicznych źródeł, mianowicie ze skarbu państwa i z funduszu krajowego, poczuwała się Akademia do obowiązku składania corocznie na publicznych posiedzeniach sprawozdań z ruchu naukowego.“ Temi słowy rozpoczyna się „Pamiętnik,“ a są one dosadną ilustracyą poglądu instytucyi na jej stosunek do ogółu. Więc „Akademia umiejętności“ dlatego jedynie uczuwa potrzebę obrachunku ze społeczeństwem, że pobiera zapomogi, w przeciwnym zaś razie widocznie nie uważałaby tego zupełnie za swój obowiązek!

Odpowiednio do powyższego założenia zredagowane są wszystkie działy „Pamiętnika,“ zawierającego w pierwszej części ogólny obraz ruchu naukowego, w drugiej bibliografię wydawnictw Akademii, wiadomości o jej składzie i majątku, wreszcie akta urzędowe odnoszące się do jej założenia i urządzenia. Nie mogę tu wchodzić w szczegółową krytykę sprawozdania z działu, traktującego o ruchu naukowym; ograniczę się więc tylko na wzmiance, że nacechowane jest ono bezmierną stronniczością i stało się ujściem dla ukrytej niechęci do pewnych, źle na giełdzie stronnictwa zachowawczego notowanych osób. W streszczaniu prac i zaznaczaniu ich wartości naukowej widać na każdem miejscu, jak pewne publikacye cieszą się szczególniejszymi względami sprawozdawcy (zwłaszcza w działach historyczno-filozoficznym i filologicznym), podczas gdy sucha, niedokładna, a często żółcią zaprawiona notatka o innych autorach i pracach każe się domyślać, że są przez areopag tylko tolerowani.

Przechodzimy do kwestyi bardzo doniosłej, a w sprawozdaniu zbytecznie pobieżnie, do funduszów Akademii. Tu chodzi już o rzecz ściśle pozytywną, o cyfry przemawiające dobitnie i zrozumiale. Tymczasem rachunek kasowy podaje tylko liczby okrągłe i wspomina o zasobach najważniejszych. Widocznie ubliżałoby Akademii rachować się z każdego grosza przed ogółem i wobec tego uważała za stosowne podać tylko ogólne kontury majątku. Pozwolimy sobie jednak przypuścić, że inna jest przyczyna braku ścisłości. Oto od kilku już lat krążą uporczywie pogłoski o znanych niedokładnościach w stanie kasowym Akademii, o kilku zatraconych funduszach i o jakimś znaczniejszym niedoborze pozostawionym przez jednego z byłych dygnitarzy. Choćby już ze względu na te pogłoski, od dłuższego czasu powtarzane, obowiązkiem było Akademii zachować jaknajwiększą dokładność w sprawozdaniu kasowem i oczyścić się z zarzutów w wysokim stopniu krzywdzących. A oto przykład tej dokładności: „Fundusz żelazny Akademii wynosił 80,000 złr., gdy jednak w r. 1880 pożyczono z tego 47,000 złr. dla skupienia praw spadkobierców śp. Józefa Szalaja w Szczawnicy pozostało tylko 33,000 złr. — *pomnożony atoli w latach następnych nowymi zapisami i darami* wzrósł obecnie do sumy *przeszło* 47,000 złr.“ Jakie to były dary i zapisy i które z nich wcielono do funduszu żelaznego o tem najmniejszej niema wzmianki a przecież kwota 14,000 złr. nie jest drobnostką, o którejby można zamilczeć.

Z całego tonu widocznem jest, że Akademii nie chodziło tyle o złożenie sprawozdania, co było rzeczą naturalną jej obowiązkiem, ile o chęć przypomnienia światu swych czynów i zasług, o błyśnięcie przed oczami wykształconego ogółu światłem sztucznej sławy, jaka opromieni dziś areopag instytucyi naukowej i grona dobrze zapisanych lub zapisujących się osobistości. Oto patrzcie, jak wynagradzamy tych, którzy umieją nam się zasługiwać i w ramy naszego programu naukowego i wyznań wiary politycznej wcisnąć swe przekonania! Zdanie ewangeliczne, że „nic zmazanego nie wnijdzie do królestwa niebieskiego“ przedziwnie było przestrzeganem przez cały dotychczasowy okres istnienia Akademii. Odbiło się to w sprawozdaniu z ruchu naukowego — przedewszystkiem widoczne jest w bibliograficznem zestawieniu wydawnictw oraz imiennym spisie członków. W tym ostatnim napróżno szukać nazwisk, które opinia publiczna u nas stawia dziś na piedestale sławy naukowej lub publicystycznej. Obok kilkunastu nazwisk, których najwyższa rada mimo najszczerszej chęci żadną już miarą pominąć nie mogła, na liście członków spotykamy tylko profesorów uniwersytetu krakowskiego lub wybitnych przedstawicieli stronnictwa, jak JE. Pawła Popiela lub Juliana Klaczkę, kilku profesorów wszechnicy lwowskiej, cały szereg młodziuchnych docentów, którzy jedną lub dwiema kilkunastostronicowemi broszurami zdołali się wcisnąć do grona dobrze widzianych. Dość wymienić, że świat literacki, tak wybitnie np. reprezentowany w Akademii francuskiej, w przybytku krakowskim ma przedstawicieli jedynie w Janie Karłowiczu, Kazimierzu Kaszewskim i Włodzimierzu Spasowiczu. Z zupełną też słusznością nazwać można tę Akademię umiejętności „Akademią krakowską,“ gdyż w istocie jest ona wyłączną siedzibą i ogniskiem zasad naukowych i politycznych stronnictwa zachowawczego w Galicyi, a rozszerzanie ich i protegowanie osób do obozu zaciągniętych uważa za jedno z najpierwszych i najważniejszych swoich zadań. Podczas gdy ludzie wsławieni w kraju i zagranicą napróżno zaglądają się za nadkładcami poważnych i źródłowych prac swoich, Akademia w ostanich szczególnie latach zasypuje sprawozdania swe rozprawkami ząbkujących historyków lub krytyków literatury, by mieć podstawę zaliczyć protegowanych w niedługim czasie do grona swoich członków. Monografie w rodzaju owej sławnej o „Wojewodzie suchym wilku“ lub „O nowym rodzaju wodorostów sinych“ co krok spotkać można między jej wydawnictwami. Czytając ich wykaz w niektórych gałęziach, zdumiewać się trzeba, jakim sposobem mogły znaleźć pomieszczenie zatęchłe i doktrynerstwem przesiąknięte prace Walewskiego lub głośna niegdyś a dziś z gruntu obalona teorya Czyrniańskiego.

Szeroko zakreślony jest program działalności Akademii, wszelako dzięki dzisiejszemu jej składowi i stosunkom wewnętrznym nie może ona go ani w części wypełnić. Każdy z wydziałów ma pewien zakres działania z szczególnem uwzględnieniem pewnych wytycznych punktów. Z wyjątkiem historycznego atoli o żadnym z nich powiedzieć nie można, że spełnił swoje zadanie. Filologiczny np., który miał się zająć sprawą ustalenia pisowni polskiej, nic dotąd w tym kierunku nie zrobił; sprawa wydawnictwa wielkiego słownika języka polskiego tak ważna ze stanowiska nauki i interesów historyi literatury, również oczekuje dotąd podjęcia.

Skromna Kasa Mianowskiego w Warszawie ze swymi szczupłymi zasobami o ileż więcej stosunkowo dla nauki zdziałała!

Do zwiększenia chaosu w dziedzinie ruchu naukowego przyczynia się niepomiernie wadliwa w najwyższym stopniu i niedołężna gospodarka wewnętrzna. Akademia dzięki przesadnym pojęciom o oszczędności dzisiejszego jej prezesa Majera nie posiada żadnych zgoła prócz podskarbiego urzędników. Biblioteka nieskatalogowana i w nieładzie, podobnież zbiory archeologiczne i naukowe komisyi fizyograficznej. Uposażenie bibliotekarza, którym dzisiaj jest dr. Kallenbach, wynosi 600 złr. rocznie, wobec czego on zaledwie 1 godzinę dziennie na zajęcie to poświęcać może. Skutkiem tego biblioteka Akademii, licząca dziś 34.600 tomów, jest niedostępną zupełnie dla publiczności i ludzi naukowo pracujących. Wydawnictwa butwieją w olbrzymich stosach w składzie sąsiedniego domu a na pomieszczenie ich musiała Akademia dokupić osobną nieruchomość *). Tymczasem w handlu księgarskim cena wydawnictw jest tak wygórowaną, iż staje się zupełnie niemożliwą dla ludzi średniej zasobności. Każde najwcześniej dopiero w pół roku po wyjściu dostaje się do sprzedaży a i wówczas jeszcze częstokroć księgarz nie umie podać ceny, gdyż jej Akademia nie oznaczyła.

Czasu i miejsca nie starczyłoby na wyliczanie wszystkich braków i wadliwości w urządzeniu i gospodarce tej instytucyi. Niestety, w dzisiejszym jej stanie i składzie niema nadziei, aby one prędko ustąpić mogły. Zakamieniały konserwatyzm nieprędko wypuści ją ze szpon swoich, a do tego czasu głosem wołającego na puszczy pozostać muszą wszelkie napomnienia i skargi.

W.

TYTUS CHAŁUBIŃSKI.

II.

Świat myśli posiada także swoją arystokracyę, która objawia się ciążeniem ku sobie umysłów wielkich, nawet w czasie bardzo oddalonych i która jak gdyby wiąże je nićmi rodowodów. Zawsze geniusz czuć będzie dla upadłego lub zdetronizowanego

*) Butwieje i gnije papier, jedzą go dziś myszy a kiedyś rozkupią sklepikarze, ale redakcyom pism polskich (z wyjątkiem naturalnie uprzywilejowanych) wydawnictw swoich nie przysyła. *Red.*

geniuszu większą część, niż człowiek zwykły. To duchy przeszłości, które jej przyświecały, a które dziś dla ogółu wydają się już tylko blademi widmami, dla mistrzów późniejszych pozostają ciągle postaciami promiennemi. Robotnik przy wieży Eiffla, gdyby go objaśniono o sposobach zataczania brył kamiennych na piramidy, śmiałby się z niedołęztwa dawnych egipcyan, ale nie śmieje się z nich Eiffel. Każdy rozwinięty student może wykazać, że filozofia Arystotelesa niema obecnie prawie żadnej wartości, w oczach jednak znakomitszych myślicieli tegoczesnych mędrzec grecki nie przestał być olbrzymem. Nie jest to zaś czcze bałwochwalstwo, lecz rozumienie i odczuwanie siły, która w warunkach swego działania odniosła możliwie najwyższe tryumfy.

Ten kult dla potęgi duchowej, ten arystokratyzm umysłowy ujawniał się całkiem naturalnie w Chałubińskim, który pochodził z rodu geniuszów. Często w nawiasach rozmowy wtrącał on:

— Mam *szczególną słabość* do wielkości upadłych.

I okazywał ją: kiedy Henryka Rzewuskiego wzgarda osamotniła zupełnie, Chałubiński zaczął u niego częściej bywać.

Już podczas choroby raz zastaję go czytającego *Essai sur les moeurs* Voltaire'a. Zapobiegając mojemu zdziwieniu, mówi:

— Nie śmiejcie się ze mnie. Książkę tę już kiedyś czytałem. Ja wiem, że to mumia, ale dochowały się w niej iskry geniuszu, którego nic, żadna uczoność nie zastąpi.

Napozór wydaje się dziwnem, zamiast dzieł Hellwalda lub Lipperta, studyować dziś Voltaire'a, zwłaszcza gdy ktoś, jak Chałubiński, nie żałował innym razem czasu na poznanie nawet historyi cywilizacyi Ducoudraya, napisanej świeżo dla... gimnazyów francuskich; ale po bliższej rozwadze upodobanie takie zrozumiemy łatwo. Jego przedewszystkiem pociągały „iskry geniuszu,“ które również w nim się żarzyły. Szedł niezmordowanie z postępem myśli ludzkiej, ale zatrzymywał ciągle swój wzrok na jej zwrotowych drogowskazach. Nikt też prędzej od niego nie spostrzegał i z większym zapałem nie witał nowych. Naprędce sklejona teoryjka nie imponowała mu i nie rozpalała się dlań gwiazdą przewodnią; ale gdy Pasteur wystąpił ze swemi odkryciami, Chałubiński odrazu pojął ich doniosłość, bo widział w nich objawienie się geniuszu. Nakłonił Kasę Mianowskiego, ażeby wysłała Bujwida na studya do Pasteura, ciągle odwiedzał pracownię młodego uczonego, interesował się rozwojem jego doświadczeń i darzył go serdeczną przyjaźnią. Jeszcze choremu w Zakopanem zawiózł Bujwid bakterye świecące, któremi na płytce szklanej wypisał imię i nazwisko czcigodnego mistrza.

Ten człowiek wielkiej miary i zamiłowany w wielkości powinienby być dumnym i lekceważącym, a był skromnym i pobłażliwym. Najmniejszego samochwalstwa unikał, a we wszystkich wartość odnajdywał. Każdy lekarz był według niego znakomitym, a kiedy ze skargą, z żalem lub oburzeniem przytoczono mu partacza, który zabijał chorych jak truciciel, kiedy dobrotliwy mędrzec nie mógł niczem zarzutów odeprzeć, mówił np.:

— On bardzo kocha swoją matkę.

Raz tylko, jak gdyby mu się z głębi duszy długo tajona myśl wydarła, rzekł z westchnieniem:

— Niestety, są lekarze, którzy tak leczą, jak malarze pokojowi malują — przez patrony.

Ale natychmiast wrócił do swego optymizmu, bo wszelka nagana więzła w jego ustach, sprawiała mu przykrość.

Przyjechał do niego w Zakopanem pewien lekarz galicyjski. Półpijany, z rozmachem awanturnika, zaczął go obsypywać niegrzecznościami, na które Chałubiński odpowiadał ze słodkim uśmiechem. Scena ta trwała przeszło godzinę.

— Jak pan profesor mógł być wyrozumiałym dla tego brutala?—zapytałem, gdyśmy zostali sami.

— To jest bardzo dobry człowiek — odrzekł z uśmiechem— a na piwo, które było dla mnie niegrzeczne, gniewać się nie umiem.

Nietylko w bezpośredniem otoczeniu, ale w całych dziejach nie było tak złej istoty, której by on nie bronił. Żadne, nawet najmocniejsze uczucia nie zdołały w nim stłumić tej dobrotliwości. Opowiadał raz nieznane szczegóły o pewnym historycznym potworze, w którym, zdawało się, nie odnajdzie szlachetnego atomu. Gdzie tam! Rozrzewnił się wreszcie, wspomniawszy, że ów okrutnik, umierając, prosił, ażeby mu dano wina rodzinnego.

Żółć zanikła w nim zupełnie.

Przed kilku laty okradziono go; *Kuryery* napisały, że poniósł znaczną stratę w srebrach. Nazajutrz ubolewamy nad jego szkodą, u on się śmieje serdecznie:

— Złodzieje okpili się, myśleli, że ja mam srebra, a tymczasem ukradli wyroby platerowane. Wystawiam sobie, jakie mają teraz miny.

I tak zawsze, niezmiennie i bezgranicznie był dobrym. Podczas gdy inni ludzie podobni są do księżyców lub gwiazd, które obok rozlewanych przez siebie blasków widzą cienie i mroki nocy, on przypominał słońce, które swem światłem nadawało każdej rzeczy i istocie wartość lub urok i nie odmawiało promieni niczemu. W tych promieniach brzydota piękniała, szarość okrywała się barwami, małość rosła.

Nie mam zamiaru wieńczyć jego głowy moją jednostkową wdzięcznością, bo ją wawrzynami pokryła wdzięczność tysięców; jeżeli więc wspominam, jakie miał serce dla mnie, to tylko z celem okazania, jakie miał dla wielu. Pewnego dnia w chwilach strasznej żałoby i boleści ujrzałem go przy sobie po raz pierwszy. Dowiedział się o nieszczęściu i chociaż nieznany, niewezwany, pośpieszył na ratunek. Chciano mu płacić — nie przyjął.

— Ależ my nie będziemy śmieli pana prosić.

— Nie potrzeba — odrzekł — ja sam przyjdę.

I rzeczywiście przychodził: przez lat kilka wskrzeszał w moim domu umierających, przywracał zdrowie nieuleczalnym, był zbawicielem, najczulszym ojcem, opiekunem, dobroczyńcą, przyjacielem, którego dowodów życzliwości niepodobna było niczem zrównoważyć. Ktoby uwierzył, że on, pożądany, upragniony, rozrywany, umiał przyjechać raniutko i zapytać u drzwi służącej, czy wszyscy w domu są zdrowi. Gdy go wreszcie niemoc owładnęła, na chwiejących się nogach, z zawrotami głowy, podtrzymywany przez lokaja, ledwie mogąc wejść na schody, jeszcze nas odwiedzał, zawsze troskliwy, zawsze do pomocy chętny i zawsze swoje dolegliwości serdecznym uśmiechem pokrywający. Jak daleko czasem posuwał swoją dobroć, dość powiedzieć, że złamany chorobą, niezdolny utrzymać pióra w ręce, na przesłane mu do Zakopanego pozdrowienia odpowiedział osobnym listem mojej— ośmioletniej córeczce. Z jego wielkiem sercem mógł się mierzyć tylko jego wielki umysł. Żadna z marnych żądz, które pełzają po padole świata, nie miała przystępu do jego duszy. W każdej drobinie, w każdym ruchu był naturą dostojną. Zamiast wypompowywać ogromną praktyką lekarską dochody dla siebie, rozdawał swój geniusz wspaniałomyślnie. Podczas gdy go błagano o przybycie z pomocą sowicie płatną, wielu zyskownym żądaniom odmawiał dlatego, ażeby mieć czas na bezinteresowne odwiedziny chorych biednych lub zasługujących na jego życzliwość. Nie doraźnie, ale całemi latami chodził po zaułkach i wysokich piętrach, często oprócz rady pozostawiając zapomogę. Najponętniejsze propozycye nie zdołały go skusić. Nieproszony pospieszył do kogoś w nocy, ale za kilkaset rubli w czasie wieczornego odpoczynku nie dał się zawieść na sąsiednią ulicę. Ofiarowano mu tysiące i dziesiątki tysięcy rubli za jednorazowy wyjazd do innych miast — odmawiał.

— Nie mogę — mówił — opuszczać moich chorych i nie chcę być jedynie zbytkiem bogaczów.

Nieobliczone przy tem sumy, krytą ręką dawane, płynęły od niego nieustannie. Jeden z jego powierników opowiadał mi, że codzień miał do rozniesienia kilkanaście kopert z pieniędzmi. A jeśli czasem jałmużna wymagała delikatniejszej formy, umiał Chałubiński dobrać dla niej najszlachetniejszą osłonę. Wspierając np. wdowę po swym koledze uniwersyteckim, przybywał tajemnie podczas jej nieobecności i pozostawiał datki małej córce. Łatwo też zrozumieć, dlaczego on, który mógł był umrzeć milionerem, ledwie miał czem zaspokoić skromne potrzeby ostatnich lat swego życia.

Jak gdyby mu było niedość tej chwały, na którą u nas zasłużył, zdobył sobie nową w Zakopanem. Wszystkie wspaniałe rysy umysłu i charakteru uwydatniły się w tej jego miłości i działaniu. Myśliciel, przyrodnik, poeta rozkochał się w majestatycznem ustroniu, w którem przyroda przechowała jeszcze niestarte i niepokalane swe uroki, w którem gwar świata nie odbijał się najsłabszem echem, w którym puszczona z niebotycznych szczytów myśl mogła orlim lotem bujać swobodnie i unosić się po nad nizinami życia. Filozof, zapatrzony w jasne strony natury ludzkiej, nie zraził się widokiem gromady ciemnych i do rozboju pochopnych chłopów, lecz dojrzał w nich pierwiastki szlachetne, które twórczym wpływem rozwinął. Wreszcie człowiek energiczny, pomysłowy i anielsko dobry został ich ojcem i dobroczyńcą. Prędzej też historya zapomni o nim, niż pamięć podtatrzańskich górali. Umarł jako widzialny „król,“ ale żyć będzie jako niewidomy patron wdzięcznego mu ludu. A chociaż tradycya we wspomnieniach swych zmieni lub pogubi pewne rysy tej czcigodnej postaci, odrodzi on się w legendach i ciągle świetlany jego cień przesuwać się będzie śród umiłowanych przez niego gór z błogosławieństwem dla przytulonej do nich gromadki ludzkiej. Wyobraźnia następnych pokoleń potrzebuje go tylko osnuć cudownością, bo on dla niej zostawił w swych przymiotach i czynach dość bogaty wątek poezyi.

I tego człowieka musieliśmy oddać ziemi! Z jaką boleścią — świadczy ten wielki jęk żalu i wdzięczności, który się publicznie z wielu piersi wydarł. W chórze żałobnym, opiewającym zasługi lekarza, nie wzięli udziału sami lekarze. Jak o wszystkich wielkich obywatelach, tak o Chałubińskim każdy czuł się upoważnionym mówić, każdy przyznał sobie prawo do słów, bo miał je do łez.

I ja je sobie przyznałem. Więcej mi w sercu pozostało niedopowiedzianego smutku, niż go w wyrazy przelać mogłem. Ten przepiękny, świetlny, dobry duch stoi przed myślą moją w całej swej wspaniałości, mierzę jego ogrom, widzę jego blaski, pamiętam jego chwałę, ale gdy spojrzę na przedzielający go ode mnie grób, umiem to tylko, co umieją wszyscy, którzy nad grobami kochanych cierpią.

A jakże ja go kochałem!

A. Ś.

BADANIA NAUKOWE.

WŚRÓD TEGOCZESNEJ FALI SPOŁECZNEJ.

I. Zamiast wstępu.

„Na najwyższych szczeblach oświaty potęga opinii publicznej, oparta na zasadach miłości bliźniego i równości demokratycznej, zmusza do zupełnego zniesienia wszelkich stosunków zależności i poddaństwa" — powiada p. W. Załęski w jednem miejscu swojej *Ekonomiki*. Słowa te stanowią próbkę bardzo rozpowszechnionych zapatrywań co do istoty bodźców, pod wpływem których odbywa się przekształcanie ustroju społecznego. Idea jest tutaj wszystkiem. Ona to rządzi rozwojem, wstrząsa staroczesnymi porządkami i stosunkami, powołuje do życia nowe objawy i urządzenia... Wielkie porywy z końca zeszłego stulecia dokonywały się właśnie z głęboką wiarą w wszechpotęgę idei. Szermierze z roku 1789, a jeszcze bardziej z czasów Konwencyi pozwali pod sąd Rozumu wszystko, co istniało dokoła nich w społeczeństwie. Cokolwiek nie wytrzymywało krytyki, było skazywane na zagładę. Książki Rousseau'a, Mablego i in. leżały na mównicy i według przygotowanej w nich recepty strzyżono i wykrawano społeczność. Cóż jednak ostatecznie okazało się? Nam, prawnukom owego pokolenia, co oglądało zapasy ówczesne, nie trudno dowieść, jak głęboko pomylono się. „Bezwzględne" wymagania Rozumu zeszły w oczach naszych na poziom względności historycznej i „deklaracya praw człowieka," ów najwznioślejszy wyjaw idei rewolucyjnej z r. 1789, już po upływie kilku dziesiątków lat ukazała inne oblicze, jaskrawo udowodniając, że jest jedynie obwieszczeniem praw obywatela-kapitalisty... Ten, jak mnóstwo innych podobnego rodzaju przykładów, wskazuje, że idea daleką jest od przypisywanej jej wszechmocy i gdybyśmy chcieli zatrzymać się nad poglądem p. Załęskiego, z łatwością moglibyśmy zetrzeć zeń właściwą mu ułudę. Naturalnie, ani myślę przeczyć, że idea wywiera bardzo znaczny wpływ w rozwoju społecznym. Dość byłoby powołać się choćiażby na fakty poddawania hypnotycznego. Mówię do osoby dorosłej, że jest dzieckiem — i oto czołga się ona na czworakach, wydaje odpowiednie głosy itd. Powiadam znowu, że jest bezbożną, i z ust wierzących płynie potok bluźnierstw... Atoli od przyznania, że idea jest jednym z czynników rozwoju, daleko jeszcze do twierdzenia, że jest ona przyczyną kształtującą, która zwala starodawne a wprowadza nowe urządzenia w życie. Jeżeli chcemy, aby pewna krytyka przeniknęła do szerokich mas ludności i ogarnęła ludzi najrozmaitszego charakteru osobowego, nie dość, aby wypływała z pobudek szlachetnych i humanitarnych lub posiadała gorliwych rzeczników. Tutaj potrzeba zgoła czego innego, a mianowicie, aby wystawiona idea była słownem sformułowaniem tych pożądań, które nieświadomie lub niejasno zarysowały się już w umysłach tłumu. Inaczej będziemy mieli jedynie szczególny rodzaj hypnozy idejowej, przeprowadzonej w szczupłych kołach, złożonych z pewnych natur wrażliwych. Podobnie, aby i sama idea została spłodzoną, w społeczeństwie winny istnieć odpowiednie pierwiastki, które dostarczyłyby stosownej treści. Od czasu do czasu widzimy umysły syntetyczne, które właśnie sprzęgają niedostrzegalne dla głów powszedniejszych objawy w całość idejową i rzucają społeczeństwu myśl odpowiednią. Atoli nie prędzej idea trafi do przekonań ogółu, póki samo pościelisko faktyczne nie spotężnieje stosownie i nie wytworzy atmosfery odnośnych pożądań.

Słowem, musimy w rozwoju społecznym wyznaczyć idei stanowisko wtórne. Jest ona wypowiedzeniem jedynie tego, co już wyrosło w społeczeństwie żywiołowo, i dopiero wtedy może pozyskać większe koła wyznawców, kiedy odpowiednie pierwiastki dojrzały dostatecznie. Wobec tego powstaje w całej swojej mocy zagadnienie: pod wpływem jakich-to bodźców i przyczyn ukazują się nowe stosunki i żywioły? Trudno nam dać szczegółową w tej mierze odpowiedź, za bardzo to bowiem odciągnęłoby nas od wątku zamierzonej pracy. Wspomniemy tylko, że ukazywanie się nowych metod w wytwarzaniu dóbr materyalnych jest właśnie owem źródłem przewrotowem, z którego pochodzą następujące zmiany i przekształcenia w społeczeństwie. Skoro raz człowiek zaprzęże do swojej służby wydajniejsze siły wytwórcze, a zaraz one poczynają odpowiednio oddziaływać naprzód na bliższe, później na dalsze stosunki i przystosowywać je do siebie — naturalnie zgodnie z każdorazowem pościeliskiem historycznem, wśród którego ujrzały światło dziennie. Naiwne pojmowanie gotowe jest np. do wyprowadzania rodowodu miast średniowiecznych z wrodzonej człowiekowi chęci stowarzyszania się; tymczasem głębiej wnikający historyk, korzystając z materyałów w pracach Maurera, może wykazać, że powstanie i dalsze dzieje miast kroczyły w zależności odześrodkowania w pewnych punktach społecznego obszaru szczególnych metod produkcyjnych. I to da się uczynić dla każdej sprawy rozwojowej w społeczności, o ile ona jest następstwem niezakłóconego zewnętrznym najazdem życia gromadzkiego. Ażeby wszakże nie poprzestać na gołosłownem twierdzeniu, uzmysłowimy nasze wywody przykładem pojedynczym. Cofnijmy się myślą w owe czasy, kiedy rzemieślniczy tryb produkowania stanowił jedyną podstawę przerabiającej działalności człowieka, a warunki historyczne trzymały znowu włościanina na uwięzi feudalnej. Produkcya płynie wąskiem łożyskiem: pojedynczemu majstrowi nie wolno trzymać więcej nad określoną liczbę uczniów, wyrabiać więcej nad wyznaczoną ilość produktu, zajmować się czemkolwiek innem krom ściśle ograniczonego zawodu, a wszystko to w celu, aby każdy mógł znaleźć zajęcie. Wyrabiano wyłącznie na obstalunek ciasnego rynku okolicznego i nie znano naturalnie obecnej niepewności co do sprzedaży. Odpowiednio byt zarówno pryncypałów-majstrów, jak i wysługujących się czeladników biegł w spokoju i w pełnej ufności jutra. Pomiędzy majstrem a uczniem nie było owej przepaści, którą dzisiaj widzimy w świecie przemysłowym. Narzędzia pracy były takie, że wymagały zastosowania wysiłków jednoosobowych; ażeby zaś używać je na własną korzyść bez wysługiwania się komuś innemu, w teoryi należało jedynie dowieść wprawnego władania niemi — nic więcej. Dzisiejszy uczeń zostawał w przyszłości majstrem. Człowiek rodził się i umierał jako polip w tem samem miejscu, wśród wązkiego potoku miasteczkowego z niewielkim zapasem pojęć a wielkiem znaczeniem staroczesnej tradycyi i rutyny. Żenił się młodo, bo żywot jego był mniej więcej zapewniony. Gospodarowanie rodzinne kształtowało się według stałej a niezmiennej modły: mąż pracował w warsztacie i zdobywał środki utrzymania, żona rodziła dziatwę, wychowywała ją według przykazań boskich i ludzkich, krzątała się w kuchni. W święta odpoczywano w kółku rodzinnem lub w cechowej knajpie. Wszystkie stosunki opierały się na powadze: majstra względem uczniów, męża względem żony, rodziców względem dzieci. Atoli tu i owdzie poczynają zjawiać się inne metody wytwarzania. Weźmy jedno z ostatnich ogniw tego rozwoju. Otóż w początkach roku bieżącego pisma nasze doniosły, że powstała w Stanach Zjednoczonych pierwsza fabryka podków, w której na wielką skalę zastosowano automaty maszynowe i siłę pary, tak iż w minutę (a nawet bodaj czy nie w sekundę) można będzie wyrabiać 600 sztuk towaru. Łatwo zrozumieć, że stosunki z epoki rzemieślniczego trybu produkcyi są tutaj już niemożliwe, zwłaszcza jeśli jeszcze dodamy do powyższego faktu inne zdarzenie dziejowe: ostateczne wywłaszczenie chłopstwa z dawnych gruntów gminnych na rzecz szlachty i wyrzucenie mas ludu na rynek roboczy. Samo już zastosowanie olbrzymów automatycznych każe przypuszczać, że za nimi ukrywać się muszą potężne środki pieniężne. Wprawa nic tu nie znaczy i o wzajemnej hierarchii rozstrzygają inne wpływy: finansowe. Dzisiejszy robotnik tylko wyjątkowo może wyrość na posiadacza owych maszynowych narzędzi pracy. Przepaść społeczna wzrasta, a z nią wzajemna zawiść klasowa. Dawniejsza powaga majstra czerpała moc swoją już z posiadania wprawy zawodowej, to znowu z przywileju cechowego, lecz wobec czeladnika napotykała przeciwwagę w posiadaniu przezeń również niejakiej wprawy. W fabryce produktów tymczasem wprawa nic nie znaczy; dość być zręcznym a zdolnym mężczyzną, a nawet kobietą, i kilka dni przebyć w obowiązku, aby już uzyskać odpowiednie wykształcenie. W ten sposób robotnikowi z fabryki podków wyrasta współzawodnik w każdym poszukującym pracy najmicie; żeby zaś takich rywalów było wielu, o to postarały się warunki historyczne. Niepewność bytu wzrasta jeszcze z innych powodów. Fabryka podków nie czeka nabywców, lecz wytwarza bez zamówienia, rozsyłając agentów i komiwojażerów, którzy ich poszukują. Może zdarzyć się, że rynki zostaną zawalone towarem. Wtedy ustaje lub ulega zwolnieniu sama produkcya i ręce robocze tracą zajęcie. Jest to obecnie objaw codzienny. Wraz z nim istniejące antagonizmy muszą przybrać wyraz ostrzejszy, tem bardziej, że sprawa odbywa się wśród ludnych miast, w stuleciu kolei żelaznych, dzienników i telegrafów. Ale jednocześnie z upadkiem chwilowym jednej gałęzi może otworzyć się w innej miejscowości drugie źródło zarobku i najmita na podobieństwo wymoczka wciąż krąży po obszarze społecznym. Nowoczesne zakłady, gromadząc się ze zrozumiałych powodów w pewnych okolicach i rozrastając szybko, wywołują nadzwyczaj prędki wzrost zaludnienia dzięki przyciąganiu sił najmickich z różnych stron kraju. Zjawia się szczególna kwestya: mieszkalna, nieznana w miasteczku rzemieślniczem, w którem ludność podnosiła się jedynie drogą naturalnego przyrostu. Wraz z domami czteroi pięciopiętrowemi ukazuje się inne zagadnienie: porządku sanitarnego. I wśród ogniska domowego wywiązuje się szczególny przewrot. Maszyna wymaga nie siły fizycznej, lecz przedewszystkiem giętkości i zręczności rąk. Kobieta może pracować i faktycznie pracuje tutaj na równi z mężczyzną. Niema ona czasu zajmować się gospodarstwem domowem, ani niańczeniem dzieci. Ukazują się odpowiednie zawody w społecznym podziale pracy: chleb, pieczony ongi w domu, kupowany bywa u piekarza, koszulę robioną dawniej przez żonę nabywa się w sklepie, z czasem w obcym domu robotnicy zaczynają się nawet stołować. Dziecko, zostawione w domu, z braku opieki może doznać jaknajgorszego losu. Potrzeba instytucyi, któraby zastąpiła matkę. Słowem, dawna rodzina rozpływa się cząstka po cząstce; rozkład zostaje przyśpieszony niezależnością ekonomiczną kobiety od mężczyzny, dwunastoletniego dziecka od rodziców. Wraz z ogniskiem domowem zanika dawny rodzinny sposób świętowania. Jeśli w społeczeństwie nie ukażą się odpowiednie równoważniki, szynk będzie jedynem schronieniem...

Nie szło nam o drobiazgowe i wyczerpujące skreślenie wpływów, wywołanych przez nowoczesne sposoby produkcyi w dawnym układzie stosunków społecznych, lecz je-

dynie o ogólne uzmysłowienie następstw i żywiołowości w ukazywaniu się nowych zagadnień. Zauważyć jednak można i z tego dorywczego szkicu, że pod tem działaniem powstają nieznane dawniej w tak zaostrzonej postaci antagonizmy i niedole, że rodzina ulega przekształceniu, wywiązuje się kwestya mieszkalna i wiele innych. A zmiana w metodach produkcyi podąża tymczasem za zmianą. Dziś zastąpiono w Wiedniu rzemieślnicze szewctwo rękodzielniczym podziałem pracy, a już w Ameryce zastosowano maszyny, poruszane przez motor parowy, dzięki czemu na przeciętnego robotnika wypada produktu aż para trzewików w 11 minut. Wynaleziono maszynę do szycia i gdzieś w Chicago robią już próby zastosowania do niej siły parowej. I tak dalej. Są to na razie jedynie zmiany czysto wytwórcze — w sposobach produkowania. I żaden, najgorliwszy obrońca starego porządku, wcielając je w życie lub śpiewając hymny na cześć tych, którzy to czynią, nie przedstawia sobie dalszych skutków. A tymczasem martwe okazy działalności ludzkiej, przesiąkając do społeczeństwa, jak kropla deszczowa kamień podobnie one żłobią stary ustrój i sprowadzają nowe ukształtowanie stosunków, a z niemi nowe zagadnienia: dobroczynności państwowej, prawa do pracy, zabezpieczenia na wypadek choroby lub starości, dostatecznych a zdrowych mieszkań, niefałszowanych produktów spożywczych, ochronek dla drobnej dziatwy, sanitarności miejskiej — itd. Sprawy te podejmuje państwo, to znowu filantropia prywatna, zwłaszcza z pośród przedsiębiorców fabrycznych, lub samopobudka najmitów. Jednocześnie wyrastają jako dalsze następstwa nowych metod produkcyi różne ideały społeczne, dążące do usunięcia niedostatków, a rozmaicie zabarwione stosownie do stanowiska klasowego znachorów. Rozbrzmiewają się hasła oszczędności i oświaty, to znowu występuje mamidło stowarzyszeń współdzielczych, socyalizmu państwowego, organizacyi stanowo-cechowej,. Naturalnie, są to tylko powierzchowne próby, zadzierzgane przez nieustający żywiołowy rozwój społeczny w umyśle ludzkim; niektóre stanowią tylko proroczą syntezę przyszłości z rozszarpanych pierwiastków teraźniejszości.

Otóż, korzystając z nagromadzonego przez nas materyału, spróbujemy skreślić te najróżnorodniejsze powyżej wymienione zagadnienia w ich obecnej postaci. Naturalnie, nie możemy podejmować wyczerpująco systematycznej pracy i z tego powodu nie zawsze być może powoływać się będziemy na najlepsze przykłady, ale tylko na te, które znajdują się u nas pod ręką. Drobne te i cząstkowe pytania o mieszkaniu, prawie do pracy itd. składają się na tak zwaną „kwestyę społeczną," kwestyę stosunku kapitału do pracy, która ostatecznie w naszem rozumieniu jest kwestyą nieprzystosowania porządku prawno-politycznego do nowoczesnych sposobów i metod produkcyi. Jednocześnie przeto z skreśleniem stanu, w jakim znajdują się różne poszczególne zagadnienia i z przedstawieniem loków, na nie podawanych, spróbujemy wyznaczyć owe stosunki prawne, przy wcieleniu których sama kwestya społeczna, naturalnie w obecnej postaci, zostałaby usunięta. Jest to pytanie właśnie co do ustroju, który pod działaniem maszyny żywiołowo wywiązuje się w społeczeństwie teraźniejszem. Oczywista, o ów układ przyszły nie będziemy pytali się u różnych partyj społecznych tegoczesności — za mało wierzymy w świadomość ludzką. Ale ponieważ wychodzimy z założenia, że jak sól, która skrystalizowała się w pokładach Wieliczki, istniała uprzednio nieskrystalizowana w wodzie morskiej, podobnie i przyszły ustrój prawo-polityczny bytuje wśród nas pod postacyą drobnych zawiązków, przeto zwrócimy się do samego życia ekonomiczno-społecznego i jego wyjawów, aby dojrzeć wyłaniające się tutaj wzory i stosunki wraz z widokami na przyszłość.

K. R. Żywicki.

ŚWIATŁO JAKO OBJAW ELEKTRYCZNY.

II.

Główne znaczenie teoryi Maxwella polega na tem, że zespala ona w jedną całość dwie tak odrębne na pozór dziedziny zjawisk świetlnych i elektrycznych, przyczyniając się w ten sposób do uwierzytelnienia nauki o jedności sił przyrody. Czy jednak teorya ta odpowiada rzeczywistości, czy też jest tylko genialną hypotezą? Wyłuszczona w poprzednim artykule zgodność wielu jej wniosków z doświadczeniem silnie już przemawiała na korzyść pierwszego poglądu; zawsze jeszcze brakło atoli bezpośredniego doświadczalnego dowodu, że fale elektromagnetyczne rzeczywiście istnieją i że rozprzestrzeniają się na wzór światła. Brak ten uzupełnił Henryk Hertz.

Ale jakże śledzić krok za krokiem rozchodzące się z tak olbrzymią prędkością działania elektromagnetyczne? Ładunek butelki lejdejskiej, siłę magnesu możemy ujawnić w odległości 10, co najwyżej 15 metrów od źródła tych działań. Taką drogę światło, według teoryi więc i siła elektromagnetyczna przebiega w ciągu mniej więcej jednej trzydziestomilionowej części sekundy. Podobnie minimalnego ułamka czasu nie umiemy wszelako mierzyć, zdawało się nawet, iż nie posiadamy żadnych znaków, za pomocą których możnaby tak mały odstęp czasu wyraźnie odgraniczyć. Tu jednak sama natura przychodzi badaczowi w pomoc. Wyładowanie butelki lejdejskiej albo innych przewodników elektrycznych, jeszcze lepiej nadających się do podobnych doświadczeń, nie jest równomiernie przebiegającym procesem, lecz składa się, podobnie jak uderzenie dzwonu, z całego szeregu drgań w jedną i drugą stronę, które następują po sobie w równych odstępach czasu, znacznie krótszych, niż czas całego wyładowania, i przejawiają się w pewnych warunkach w postaci szybko gasnących iskier. Przy wyładowaniu np. konduktora maszyny elektrycznej peryod (tj. czas trwania) jednego takiego drgnięcia wynosi od jednej stumilionowej do jednej tysiącznomilionowej części sekundy. Otóż Hertz użył takich pojedynczych drgnięć jako znaków do odgraniczania mierzonego czasu; wobec ich krótkotrwałości jedna trzydziestomilionowa część sekundy nie jest już tak małym odstępem czasu. Do wytwarzania regularnych drgań elektrycznych posługiwał się on nader pięknie pomyślanym przyrządem *), składającym się z 2 kul metalowych o 30 centym. średnicy, z których każda opatrzona była krótkim prostym drutem, zakończonym małą wygładzoną kulką metalową. Kule te umieszczone były naprzeciw siebie tak, że pomiędzy kulkami poziomo ustawionych drutów, połączonemi z maszyną indukcyjną, znajdowała się drobna przerwa. Przy każdem wyładowaniu następowały zupełnie regularne drgania tego przyrządu — kamertonu elektrycznego, przejawiające się również w postaci iskier, przeskakujących przez ową przerwę pomiędzy kulkami.

W jaki jednak sposób ujawnić wychodzące od tego przyrządu działania elektryczne na żądanej odległości 10 lub 15 metrów? Jeżeli rozprzestrzeniają się one w postaci fal, to — na zasadzie pewnego twierdzenia, stosującego się do każdego ruchu falowego — długość 1 takiej fali winna się równać prędkości przenoszenia się ruchu, podzielonej przez częstość drgań czyli liczbę ich w ciągu sekundy. Ponieważ zaś prędkość rozchodzenia się działań elektromagnetycznych — równająca się, według teoryi, szybkości światła—wynosi 300,400,000 metrów na sekundę, gdyby więc nasz kamerton elektryczny wykonywał sto — albo dwieście milionów drgań na sekundę (a większą częstość drgań trudno osiągnąć), to długość 1 fali wynosiłaby $3^1/_3$, względnie $1^1/_2$ metr. Tak długich fal nie możemy odczuwać jako światło, na to musiałyby one być kilka milionów razy krótsze, odnośna więc częstość drgań — tyleż razy większa. Dla wykazania tych działań elektromagnetycznych Hertz użył zasady współdrgania, którą posługują się przy analizie dźwięku oraz przy spektralnej analizie. Jeżeli w pobliżu zwykłego, drgającego kamertonu, który sam przez się brzmi bardzo słabo, trzymamy rezonator, to, w wypadku zgodności drgań zawartego w nim powietrza z drganiami kamertonu, rezonator silnie odbrzmiewa na ton tego ostatniego, w przeciwnym razie — wcale nie odpowiada. Tak samo, gdy na pewnej odległości od naszego kamertonu elektrycznego umieścimy inny przewodnik elektryczny, np. drut metalowy odpowiednich rozmiarów i kształtu, mający w pewnem miejscu drobną przerwę, drut, który możemy nazwać rezonatorem elektrycznym, to w razie, gdy peryod jego drgań dla prądów elektrycznych jest taki ż sam, jak w kamertonie, wskutek indukcyjnego działania tego ostatniego przez ową przerwę w rezonatorze będą przeskakiwały iskry. Są to nadzwyczaj krótkie i szybko przemijające iskry; trudno je dostrzedz, dobrze zakonserwowane oko może je jednak w ciemności widzieć. Taka jest w krótkich słowach metoda doświadczeń Hertza.

Dajcie fizykowi szereg zwykłych kamertonów i stosownie dobranych rezonatorów i zażądajcie od niego, ażeby wam wykazał, iż dźwięk do przebycia przestrzeni wymaga pewnego czasu, a zdoła on to uczynić nawet w ograniczonej przestrzeni sali doświadczalnej. W tym celu ustawi stroik (kamerton) w dowolnem miejscu i, uzbroiwszy ucho w odpowiedni rezonator, będzie badał w różnych punktach sali natężenie tonu, wytwarzanego przez drgający stroik. Pokaże on wam, że w pewnych punktach przestrzeni natężenie tego tonu jest bardzo nieznaczne, co pochodzi stąd, że w tych miejscach każde drganie, wysyłane przez stroik, znosi się z innem późniejszem, które dosięga tego samego celu na krótszej drodze. Jeżeli przebycie krótszej drogi dokonywa się prędzej, niż dłuższej, wówczas dźwięk dla przebycia przestrzeni wymaga oczywiście pewnego czasu— i kwestya jest załatwiona. Ale akustyk nasz wykaże dalej, że owe punkty przestrzeni, w których ton zanika, następują po sobie peryodycznie w równych odstępach; powie wam nadto, że najmniejsza różnica dróg, przy jakiej następuje owo znoszenie się drgań (interferencya dźwięku), równa się połowie długości fali dźwiękowej, odpowiadającej rzeczonemu tonowi; podwójna więc ta różnica daje nam długość całej fali i, mnożąc tę ostatnią długość przez liczbę drgań stroika, otrzymujemy prędkość dźwięku.

Otóż dokładnie tak samo postępujemy względem drgań elektrycznych. Zamiast zwykłego stroika bierzemy nasz kamerton elektryczny, zamiast rezonatora— przerwany drut, tj. rezonator elektryczny. Przekonywamy się, że ten ostatni, będąc umieszczony w pewnych punktach przestrzeni, odpowiada na drgania kamertonu, tj. daje iskry, w innych — nie; widzimy, że miejsca zanikania iskier następują po sobie w równych odstępach, co, podobnie jak wyżej, dowodzi, że przenoszenie się działań elektromagnetycznych wymaga pewnego czasu i co daje, znowu jak wyżej, możność mierzenia długości fali elektrycznej. Zadajemy

*) Bardziej szczegółowy opis poniżej omówionych doświadczeń, pióra samego Hertza, podał w polskim przekładzie *Wszechświat* w czerwcowych numerach b. r.

sobie pytanie, czy są to fale podłużne (jak np. dźwiękowe), czy też poprzeczne — jak fale światła? Trzymamy rezonator elektryczny w tem samem miejscu naprzemian w dwóch różnych położeniach: raz daje on iskry, drugi raz — nie. Niczego więcej nie trzeba, pytanie rozstrzygnięte: są to fale poprzeczne. Pytamy o prędkość ich rozchodzenia się w przestrzeni? Mnożymy zmierzoną długość fali przez obliczoną częstość drgań i otrzymujemy prędkość, zgodną (o ile tego można oczekiwać od doświadczeń, tak różnych od eksperymentów optycznych) z szybkością światła.

Doświadczenia te znamionują świetny tryumf zarówno poglądów Faradaya, jak i teoryi Maxwella, są one bowiem dla nich tem, czem były sławne prace Younga i Fresnela nad interferencyą światła dla teoryi undulacyjnej. Niepodobna się dłużej opierać wywodowi elektromagnetycznej teoryi, że światło jest zjawiskiem elektrycznem. Cel tedy byłby już osiągnięty. Czy jednak, będąc tak daleko, nie możnaby się już obejść bez trudnej dla wielu do zrozumienia teoryi Maxwella? Ekonomia nauki wymaga, abyśmy omijali drogi okolne tam, gdzie utorowana już jest prosta: jeżeli za pomocą fal elektrycznych można naśladować zasadnicze zjawiska świetlne, wówczas wszelka teorya jest zbyteczna, pokrewieństwo światła i elektromagnetyzmu wynika bowiem wtedy wprost z samych faktów. Otóż daje się to rzeczywiście uskutecznić. Umieśćmy nasz kamerton elektryczny w ognisku wielkiego wklęsłego zwierciadła, a wskutek odbicia się fal, wychodzących z kamertonu od ścian zwierciadła, otrzymamy wiązkę promieni elektrycznych; nie możemy ich wprawdzie widzieć. ale za pomocą rezonatorów elektrycznych łatwo je wykryć i wykazać, że są to promienie prostolinijne. Przewodniki elektryczne, ustawione na drodze promieni, nie przepuszczają ich, rzucają cień, tj. rezonatory elektryczne, umieszczone za temi przewodnkami, nie dają iskier. Promienie nie zostają jednak przytem zniszczone, lecz odbijają się od napotkanych przeszkód według praw odbijania się światła. Nie trudno także promienie elektryczne załamać, przepuszczając je przez wielką pryzmę z odpowiedniego materyału, np. z asfaltu, a nawet spolaryzować, ustawiając na ich drodze siatkę drucianą stosownej konstrukcyi: widzimy wtedy, iż w rezonatorach elektrycznych, umieszczonych za siatką, występują iskry albo przeciwnie znikają, zgodnie z prawami, według jakich możemy pole widzenia przyrządu polaryzacyjnego rozjaśnić albo zaciemnić przez włączenie tafelki odpowiedniego kryształu.

Dowody te są zupełnie wystarczające. Tożsamość ruchów eteru przy przenoszeniu drgań świetlnych i elektromagnetycznych, przepowiadana przez teoryę, stała się naoczną prawdą, dostępną zarówno dla zmysłów, jak i dla powszedniego, nie rozumiejącego języka matematyki, umysłu. Panowanie elektryczności, której upodwładniono światło, rozpościera się teraz na całą przyrodę: w każdym palącym się płomieniu, w każdym świecącym lub promieniującym ciepło atomie postrzegamy proces elektryczny. Okazuje się, iż posiadamy nawet organ elektryczny — oko, które tylko wskutek organicznej swej wrażliwości nie może wprost odczuwać zbyt szybkich lub zbyt powolnych drgań eteru. Najszybsze z tych, znanych nam, drgań, zdradzają swą obecność działaniem chemicznem na kliszę fotograficzną, wolniejsze bezpośrednio odczuwamy okiem jako światło, jeszcze wolniejsze ujawniamy za pomocą okopconych ciał, pochłaniających ciepło promieniste, nareszcie najpowolniejsze drgania wykrywamy przez użycie odpowiednich rezonatorów elektrycznych.

Elektryczność wysunęła się na pierwszy plan badań przyrodniczych i, według wyrażenia Quinckego, stała się ową pobudką, przy odgłosie której pielgrzymi XIX wieku zwracają swe kroki ku Świętej Ziemi przyrody.

Henryk Silberstein.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Dr. T. Mandybur, *Krzysztof Opaliński* jako pisarz satyryczny. Lwów, 1890.

III.

Naśladownictwo literatury starożytnej było niemniej silnym regulatorem twórczości naszego pisarza. Ponure obrazy Juwenalisa, satyryka rzymskiego z czasów Domicyana, oraz mgliste, filozoficzne refleksye Perseusza były przewodnią gwiazdą młodego pesymisty. Szczególnym trafem właśnie najwięcej satyr, dotyczących tak ważnej rzeczy, jak wychowania młodzieży obojga płci, naśladowanych jest z poetów rzymskich i dlatego jeżeli gdzie, to na tem polu przedstawienie jego jest zupełnie spaczone. Wedle nich urobił on sobie pojęcie o zadaniu satyry. Celem jej jest — według niego — wszystko w jaknajgorszem wystawiać świetle, dla złagodzenia jednak tej żółci należy przydać do niej pewien zasób moralnych sentencyj i nauk, a nawet czasem wyraźnie wymienić, iż wśród ogólnego upadku cnota nie zaginęła jeszcze zupełnie. Tak też wyglądają po największej części jego satyry: sam przedmiot opisany zazwyczaj jaknajczarniej, aby rady i przestrogi autora tem więcej usprawiedliwionemi się wydały i tworzyły niejako rażące przeciwieństwo do tego, co być powinno; jeśli zaś czuje, że za daleko się zapuścił, wspomina pod koniec coś pocieszającego. Charakterystycznym przykładem w tym względzie jest satyra: „Na zepsowane stanu białogłowskiego obyczaje,“ naśladowana według VI znanej satyry Juwenalisa. Wyliczywszy wszelkie niemożliwe w Polsce typy zbrodniczych i występnych kobiet, odczuwa w końcu, że przecież te żywcem z żółciowego satyryka rzymskiego przejęte obrazy ani stosownemi, ani prawdziwemi być nie mogą, dodaje: „znajdują się takie, które i do tej satyry mało co należą i które pod niebiosa godzi się wywyższyć.“

Chcąc odpowiedzieć godnie tak pojętym warunkom satyry, idąc za przykładem Juwenalisa, który swej generacyi przeciwstawia idealne, niewinne czasy, wygrzebane gdzieś z dawniejszej historyi Rzymu, wytworzył sobie Opaliński wyobrażenie o jakimś złotym wieku staropolszczyzny, w której blasku wydawały się wszystkie społeczne sprawy i obyczaje potępienia godne. Gdybyśmy podobny obraz napotkali u innego poety, miałby on dla nas znaczenie sielanki, choćby nie odpowiadał prawdzie; u Opalińskiego jednak idealna ta mara jest owocem innych zupełnie pobudek. Głównem źródłem jego niechęci do współczesnych było niespełnienie jego życzeń i uroszczeń. Mniemał on, iż nie umiano ocenić dobrych jego chęci dla kraju i odpłacano je niewdzięcznością. Jeśli odradzające się w nim zasługi i cnoty sławnych jego przodków nie znalazły sztucznej nagrody, to łatwo mógł przyjść do przekonania, że czas bieżący nie ma uznania dla cnoty i sam nawzajem niegodny jest żadnego uznania. Gorycz urazy osobistej rozlewał na całe społeczeństwo, a istotne zepsucie chwili ówczesnej drażniło do tem obfitszego wylewu żółci. Ponieważ zepsuciu temu należało koniecznie dla kontrastu przeciwstawić chwałę i blask jakiejś innej epoki, przeto zrozumiałem jest, czemu uwielbienie Opalińskiego zwróciło się ku zamierzchłym wiekom starożytności. Tymczasem jak owa osobistą wiarą podsycona nienawiść współczesnej mu doby, tak i to uwielbienie czasów dawniejszych nie miało dostatecznej podstawy. Cnoty starożytności równoważyły się nader jawnemi zdrożnościami, a fałszywe przechwalanie epoki dawno minionej obok niesprawiedliwego potępienia czasów obecnych raczej szkodę moralności przynosi, niż pożytek.

W satyrach obyczajowych, opisujących życie prywatne, najwięcej grzeszy Opaliński przesadą, bo lubo było w owych czasach wiele zbytku, nierozsądnego naśladowania obczyzny w strojach i zwyczajach, wiele pijackich burd i wiele poziomej podłości, jednakże ówcześni mężowie nie truli dla posagu swych żon arszenikiem, ani ojcowie z obawy przed chciwością synów nie potrzebowali zażywać Mitrydatowego antidotum.

Opalińskiemu zdaje się, że ze wszech stron otaczają go ludzie dybiący na życie ludzkie, wszędzie wietrzy on „arsenik, niestrawne bolum“ lub coś podobnego, a ten objaw nosi na sobie wyraźne znamiona pewnego chorobliwego, anormalnego stanu jego umysłu. Natomiast satyry na duchowieństwo nie są—jak chce dr. Mandybur—„paszkwilami generalizującymi wyjątkowe wypadki.“ Istotną prawdą jest, co powiada Opaliński, „że plebani grzeszyli chciwością i złem prowadzeniem życia, że biskupi i zwierzchnicy dbali więcej o przysporzenie sobie majątku, niż o rzeczy duchowne, a życie prowadzili wprost gorszące.“ „Nie lepiej dzieje się — według Opalińskiego — w zakonach. Niema tu skromności, ani ubóstwa, natomiast wiele ambicyi i chciwości. W Rzymie oczerniają się nawzajem, a ślubów zakonnych bynajmniej nie zachowują, mieszając się w rzeczy do nich nienależące. Kaznodziejów wreszcie dobrych prawie niema, teraźniejsze kazania są bez treści, wiele napuszystości, kłamstwa i nieuctwa. Wychwalają niezasłużonych pod niebiosa, a zasad, które głoszą, wcale się nie trzymają.“ Tak smutno przedstawia się życie duchownych w satyrach Opalińskiego. Spotykamy między niemi grupę takich, które wprawdzie mają uzasadnienie w społecznych stosunkach ówczesnych, lecz przedstawiają nam raczej typowe postacie, mające znaczenie ogólno-ludzkie i dające się do każdego czasu i do każdego społeczeństwa zastosować. Zasługują zaś satyry z tego względu na szczególniejszą uwagę, iż obrazów tych rodzajowych nie zamąca ani wiara osobista, ani naśladownictwo lub miarę przechodzący pesymizm. Satyry treści etycznej nie stanowią osobnej księgi, nie tworzą jednego świetlanego pęku promieni, lecz wplatane są pojedynczo między owe ciemne obrazy z życia ludzkiego, aby od czasu do czasu oderwać czytelnika od tego padołu głupoty i podłości i wznieść się z nim do wyżyn czystych ideałów, złością ludzką niezamąconych. Opaliński jest tu wyznawcą stoickiej mądrości, znoszącej zarówno obojętnie szczęście, jak i nieszczęście. I w tych satyrach obraca się poeta na wodnistym oceanie naśladownictwa. Przy wielkiej liczbie zdrowych myśli i cennych rad dąży Opaliński do mocy i energii w wyrażeniu, do staropolskiej otwartości i swobody, przechodząc nieraz w rubaszność, a nawet trywialność. Dr. Mandybur nie może się dość nadziwić, jak człowiek z tak wysokiego stanu, poseł do najwytworniejszego dworu w świecie po jaśniejącą wdziękami narzeczoną królewską, używać mógł wyrazów, jakich sobie pozwalał ledwie ekonom w jego dobrach, np. „małpo,“ „błaznie,“ „ksze“ (!) itp.

Satyry Opalińskiego zbyt są przejęte subjektywnem jego uczuciem, gniewem, namiętnością i oburzeniem, aby wykazywały pewien z góry obmyślany plan w kompozycyi i ugrupowaniu; najczęściej z opisania pewnej przywary lub wady przechodzi autor nagle w ton moralizatora, łaje surowo, powtarzając się niejednokrotnie z tego względu; dlatego możnaby satyry jego porównać do bezładnej i ostrej mowy człowieka w gniewie.

Mimo pewnych braków w formie, satyry Opalińskiego cieszyły się u współczesnych i potomnych wielką wziętością. Nie można się temu dziwić. Czegóż bowiem tam nie znalazł ciekawy czytelnik? Treść z rozmaitych zakresów życia, anegdoty, historye, typowe postacie, staropolską otwartość, a nawet obfitość dobrych rad i przestróg. Doczekało się też dzieło Krzysztofa już w XVII wieku licznych wydań na dowód swej niezwykłej popularności, a do dziś nawet mogłyby mieć niektóre satyry jego więcej niż historyczno-literackie znaczenie.

H. B.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Śpiewak miłości i „abbé." — Verdi. — Jego odraza do wrzawy. — Uczczenie go w Warszawie. — Wypłata długów wdzięcznością. — Zabiegi Resursy Obywatelskiej dla ożywienia zabaw.— Ich powód.— Temat do rozmyślań. — Bilard żydowski. — Książka p. Junoszy. — Dwie matki szkodników. — Zarys planu reformy. — Śmiałe rozcięcie węzła. — Plon według desideratów. — Kolumbowe jajko. — Objaśnienie.

Raz przypadkiem znaleźli się jednocześnie w Paryżu: namiętny śpiewak miłości i surowy „abbé" — obaj synowie tej samej czarownej muzy — Polihymnii. Śpiewak miłości prowadził życie odludka, unikał nowych znajomości, wypraszał się od hołdów i wogóle usiłował wykraść swą osobę gwarowi publicznemu; przeciwnie, surowy „abbé" zdobił sobą bogate salony, przyjmował deputacye, napawał się otaczającą go wrzawą i nawet do kościoła przenosił zgiełk swych tryumfów. Był to Verdi i Liszt. Przeciwieństwo, jakie wówczas uwydatniało się między nimi, charakteryzuje obu, ale bardziej znakomitego kompozytora włoskiego. Leży to bowiem już w prawidłowości świata, że wszelka istota ludzka, która z powodzeniem dotyka się palcami strun i klawiszów lub stopami desek scenicznych, robi hałas koło siebie i pożąda go. Samotnik, przywiązany do swojego kąta wiejskiego, nieprzyjaciel występów publicznych i owacyj, zakochany tylko w swej muzie i cieniu kobiety, którą utracił, Verdi wygląda jak dziwak śród Apollinowego grona. My, którzy Modrzejewską mianowaliśmy „przewodniczką młodzieży polskiej," my, którzy na szczycie ludzkości umieściliśmy Mierzwińskiego, my, którzy chcieliśmy wyprządz konie u karety Kochańskiej, my, którzy drukujemy „studya" o p. Czaki lub Seidemanie, my, którzy przez pół roku zamazujemy sobie pisma polemiką członka orkiestry z zarządem kasy teatralnej, my, dla których wszystko, co ma związek z teatrem i salą koncertową, posiada urok niewysłowiony, ledwie zrozumieć możemy tego oryginała, nielubiącego wieńców, ryków paradyzowych i jazdy ludźmi. Szczególny gust — siedzieć na wsi i rozmawiać z chłopami, zamiast pozwalać się „interwieowować" krytykom — prawda panowie i panie z teatrzyków, których całą galeryę pokazało nam *Echo muzyczne* i których „pasye" artystyczne, wyrażone w głębokich poglądach na sztukę, tyle nam rozkoszy sprawiły? Ale ostatecznie, co począć! Takim Verdi jest i innym być nie chce.

Chociaż jednakże laurów zabiegliwie nie hoduje, same mu one w wiejskim ogródku wyrastają. Przyjaciołom swoim, polecającym mu natrętów, którzy go chcieli odwiedzić, odpowiadał stale: powiedzcie tym panom, że u mnie niema nic ciekawego. Przed sławą jednak, która mu znosiła wieńce ze wszystkich stron świata, drzwi zamknąć nie mógł. Istotnie, chyba żaden inny kompozytor nie obdarzył oper tak szczodrze, jak on; żadnemu też nie są tyle winny. Gdziekolwiek śpiewają, tam śpiewają Verdiego. Muzykę dawniejszych jego utworów nie bez pewnej słuszności uważano za trywialną, grubą, mało kunsztowną, z prostych motywów wysnutą. Późniejszemi dziełami, a zwłaszcza *Aidą* dowiódł, że umie być również mistrzem formy.

Jest to wielce chwalebnem, że nawet *Kuryer warszawski*, którego zmarły redaktor był jednym z najżarliwszych apostołów opodatkowania nas za korzystanie z piśmiennictw zagranicznych — wyśmiał tegoroczny kongres zwolenników bajki o czapli na wysokich nogach, czyli o własności literackiej. Ale ocalony nasz przywilej wobec zagranicy nie powinien nas uwalniać od wdzięczności dla tych, których pracę wyzyskujemy. Niestety, upowszechnił się wcale nierycerski zwyczaj, który nas rozgrzesza ze zwykłych i wcale nieuciążliwych obowiązków grzeczności względem autorów obcych. Tłomaczymy i przerabiamy ich dzieła nietylko bez pytania ich o zgodę, ale nawet nie uwiadamiamy ich o tem i nie posyłamy im egzemplarzów, nie wyrażamy im wdzięczności, nie bierzemy żadnego udziału w uczczeniu ich zasług. Jest to nieprzyzwoitość bardzo pośledniego gatunku. Każdy z nich nie żałowałby nam swego daru, gdybyśmy mu powiedzieli szczerze i godziwie: nie zapłaciliśmy ci, bośmy biedni, ale za skorzystanie z twej pracy wynagradzamy cię tam, co mamy — wdzięcznością.

Za prawo wystawiania oper płacimy, ale naturalnie odpowiednio do bogactwa naszej chaty. I tu mamy ulgi znaczne, i tu trzeba je wyrównywać nagrodą uczuciową, zwłaszcza że to źródło wyzyskujemy szczególnie. Było więc powinnością przez moralne względy nakazaną, ażebyśmy i my, wraz z całym światem cywilizowanym, przyjęli udział w hołdach złożonych Verdiemu za 50 lat chwalebnej pracy. *Violetta*, *Rigoletto*, *Trubadur*, *Aida* — długi szereg dzieł mistrza włoskiego przesunął się przez operę naszą i pozostał w niej dotąd. Do miliona serc spłynęły jego melodye — dług więc nasz jest wielki. Rozumnie też i uczciwie postąpiło grono artystów i miłośników muzyki w Warszawie, uczciwszy Verdiego przesłanym mu od niej adresem: „Prawie od pół wieku — piszą oni — arcydzieła twoje są rozkoszą mieszkańców Warszawy. Żadnego kompozytora nie oklaskiwano tak gorąco, żaden nie wzruszył tylu serc. To też... spieszą wyrazić Ci dziś swoje głębokie uwielbienie i wdzięczność."

Resursa Obywatelska czyni zabiegi, ażeby życiu towarzyskiemu w swych salach podczas zimy nadać gorętsze tętno, co jej niektóre pisma poczytują za wielką zasługę. Według mnie jest to trud zbyteczny, gdyż członków Resursy wyręczy w tych staraniach bożek karnawału, skoro tylko nadejdzie pora jego władzy. Jeżeli co, to ożywianie zabaw nie powinno nam sprawiać żadnego kłopotu, bo na tem polu żaden naród jeszcze nas, chwała Bogu, nie wyprzedził. Domyślam się wszakże, jakie powody skłoniły zarząd Resursy do podjęcia owych usiłowań. Oto czytam w *Gazecie warszawskiej*: „Sekwestrator powiatu łukowskiego, gubernii siedleckiej, w październiku r. b., doniósł naczelnikowi tegoż powiatu, że objechawszy *15* majątków celem wyegzekwowania zaległych podatków, oprócz inwentarza roboczego, niepodlegającego zajęciu, nic innego, z powodu zupełnego nieurodzaju, nie znalazł, co mogłoby być na pokrycie należności skarbowych zasekwestrowane i sprzedane." Przynajmniej tedy ze strony obywateli ziemskich grozi Resursie bezrobocie, które trzeba zażegnać. Wprawdzie nawet tam, gdzie sekwestrator nic nie znalazł, znajdzie jeszcze coś żona lub córka na spłacenie długu karnawałowi, ale zawsze jest to objaw niepocieszający. Niestartą zaś plamą pokryłaby się karta dziejów bieżących, gdyby na niej dla potomności zapisano wiadomość, że w r. 1890 nadwiślanie bawili się bardzo mało. Już mi brzmią w uszach elegie korespondentów prowincyonalnych, utyskujących na „martwotę" swych okolic, na „brak życia," na sobkostwo itd. Tego w żaden sposób dopuścić niepodobna. Trzeba tak doniosłą sprawę rozważyć wszechstronnie, więc można również zadać sobie pytanie: a gdybyśmy tez w roku bieżącym nie bawili się zapamiętale i nie wytańcowywali na gruzach? Słyszałem ludzi rozumnych, którzy twierdzili, że byłoby to dla społeczeństwa bardzo szkodliwem, bo osłabiłoby jego „energię," której siedliskiem są u nas nogi. Nie śmiem więc nikogo namawiać do osłabiania tak potrzebnej nam energii i powyższe pytanie rzuciłem tylko dla wyczerpania kwestyi jako temat przeważnie akademicki. Gdyby wszakże między moimi czytelnikami znalazł się zwolennik rozmyślań teoretycznych i miał dosyć czasu do zajęcia się tą kwestyą, polecam mu ją usilnie. Rzeczywiście, warto rozstrzygnąć: co by się też stało, gdybyśmy przestali balować? Może z tego strasznego ryzyka odnieślibyśmy jakąś korzyść nietylko materyalną, ale nawet moralną — kto to wie!

Tymczasem upajamy się rozkoszą koncertów antisemickich. Gdzie ucho zwrócisz, zewsząd dobiegną cię odgłosy gwizdawki i kociej muzyki. Współzawodnictwo tych popisów jest tak wielkie, że — według *Kuryera świątecznego* — „główny antisemitnik zbankrutuje." Pomijając nawet spadający przy tej sposobności grad słów zdziczenia moralnego, niejeden zapewne z czytelników zawołał: „na litość, dosyć już tego żydowstwa." Przepraszam, nie życie decyduje o wyborze kwestyi, ale literaci. Oni teraz chcą grać w bilard żydami, musimy tworzyć dla nich galeryę — radzącą i krytykującą. Zabiłbym was, gdybym opowiedział o wszystkich uderzeniach w te sprężyste kule, ciągle zapędzane do łuz i ciągle wyjmowane do nowych partyj; ależ nie mogę przemilczeć o p. Kl. Junoszy, bo napisał sporą książkę. Na pierwszych jej stronicach autor miał zamiar być tylko malarzem *Naszych żydów we wsiach i miasteczkach*. „Nie czuł on się powołanym do rozcięcia lub też do rozwiązania węzła... pragnął tylko zaprowadzić czytelnika do samego gniazda kwestyi." A więc z dużym zasobem obserwacyi życiowej i znajomości rzeczy nakreślił obraz fizycznych i moralnych brudów żydowstwa, obraz roju występków, które mają dwie matki: nędzę i ciemnotę. Nie są te pasorzyty obdarzone żadnemi szczególnemi zdolnościami: jeść im się chce — oto źródło ich sprytu i odwagi, a ponieważ spotykają się z nami przy jednym chlebie — stąd „kwestya." Potrzebują żyć, a nie chcą lub nie umieją pracować — więc trudnią się oszustwem, lichwą, wyzyskiem, kontrabandą, koniokradztwem, rozpajaniem ludu itd. W występkach ćwiczą się lub podtrzymują zabobony i środki wychowania. Jak usunąć pierwszą przyczynę złego — nędzę? Autor cofa się od odpowiedzi na to pytanie i dotąd rzeczywiście „nie czuje się powołanym do rozcięcia lub rozwiązania węzła." A jak usunąć ciemnotę i wzniesiony przez nią mur odrębności? Tu p. Junosza już „czuje się na siłach," a radzi krótko: rozwalić ten mur i „wtłoczyć tę masę w ramy praw obowiązujących wszystkich obywateli." Przedewszystkiem zaś należy zburzyć chedery (szkoły początkowe). „Są one — według niego — głównem źródłem tych anomalij i potworności społecznych, które znamy pod ogólną nazwą *kwestyi żydowskiej*." Może je zreformować? „Wygląda to tak—odpowiada p. Junosza—jak gdyby kto wołał: szósta część ludności choruje epidemicznie na tyfus, a więc... zreformujmy tyfus." Nie, żadnego miłosierdzia, trzeba odebrać żydom ich przywileje i swobodę, pozbawić ich instytucyj i urządzeń niepodległych, a to zburzenie Jerozolimy polskiej rozpocząć od chederów. Za

niepowtarzanie ciągłe, że Kartagina powinna być zniszczona, p. Junosza robi cierpkie wymówki naszym pismom, zwłaszcza zaś organom postępowym, które „zapewne przez jakieś źle zrozumiane względy dla żydów wykształconych o kwestyi wychowania młodych pokoleń konserwatywnego żydowstwa milczą,“ co jest tem dziwniejsze, że „nikt nie zabrania w kwestyi żydowskiej za pośrednictwem prasy wyrażać desideratów (życzeń) ogółu.“ Naturalnie przypuszczamy, że autor powiedział to z dobrą wiarą, że nic o zachowaniu się pism postępowych względem chederów nie wie i że swobodę, jaka służyła wyrażeniu jego życzeń, uważa istotnie za całkowitą, jaka w tej sprawie jest potrzebną i możliwą dla objęcia wszystkich „desideratów.“

Tak tedy p. Junosza, „nie czując się na siłach,“ rozciął jednak węzeł, a trzeba mu przyznać, że rozciął go z tą samą śmiałością, co Aleksander Macedoński. Nie zadrgała mu ręka ryzykiem i obawą, przeciwnie, widzi jasno jak prorok, że wykarczowana nowina żydowstwa, obsiana innem ziarnem, wyda piękne plony według „desideratów,“ że na miejscu Pięcioksiągu hebrajskiego rozłoży się Pięcioksiąg w języku europejskim itd. Owszem, niech się ta przemiana spełni, tylko niech p. Junosza pozwoli pismom postępowym przypatrywać się jej w milczeniu przez... „źle zrozumiane względy dla żydów wykształconych.“ Kolumbowy sposób, którego użył do postawienia jajka żydowskiego, oddawna jest znany, tylko został zarzucony zapewne z powodu tych „źle zrozumianych względów.“ Ile razy projekt ten wnoszono w naszej prasie, zawsze z niej odzywał się duch starego Windhorsta z zastrzeżeniem: *das müssen wir uns erst überlegen.* P. Junosza już dostatecznie, gruntownie rozważył swój wniosek i stąd poczerpnął odwagę. Cóż możemy innego wobec niej zrobić, jak podziwiać?

Ażeby jednak ten podziw nie mieszał się z uczuciami, na które autor nie zasłużył, dodać winienem, że chociaż ma on odrazę do ciemnych i upodlonych żydów we wsiach i miasteczkach (czemu trudno się chyba dziwić), to jednak nie zabłocił swego pióra dzikim fanatyzmem rasowo-wyznaniowym. Przeciwnie, nawet z „kwestyi żydowskiej“ wyłączył tych, którzy do niej nie należą. W książce jego Kuba rozpruwacz pierzyn wcale nie występuje. Pomimo to szkoda, że p. Junosza nie poprzestał na skreśleniu obrazu i... „uczuł się na siłach.“

Posel Prawdy.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Szkoły. Niektóre szkoły odeskie przedstawiły ministeryum oświaty sprawę gimnastyki w następującem oświetleniu: 1) obfitość ćwiczeń gimnastycznych wywołuje zmęczenie i zamiast pożytku przynosi szkodę dla zdrowia uczniów; 2) zmniejszenie czasu rekreacyjnego odbija się niekorzystnie na uczniach; 3) umieszczanie lekcyj gimnastyki pomiędzy różnemi godzinami wykładowemi wywoła różnicę, skutkiem czego nauczyciele nie będą mogli obsługiwać więcej, niż jedną szkołę; 4) lekcye 50-minutowe są niedostateczne dla ukończenia kursu; 5) nauczyciele gimnastyki, oficerowie, zajęci do godziny 11-ej przed południem w pułku, nie mogą odbywać lekcyj wcześniej, tak że gimnastykę z konieczności trzeba umieszczać od godz. 12 do końca dnia szkolnego, co w wielu razach jest niedogodnem a nawet niemożliwem.

— Jednocześnie z prowadzeniem wykładów gimnastyki wojskowej w gimnazyach i szkołach miejskich, wydano z upoważnienia p. ministra wojny i oświaty broszurę, napisaną przez generał majora Kolbego, obejmującą w streszczeniu zasady tego przedmiotu.

— Ministeryum oświaty, zatwierdziwszy niedawno nowe programy dla szkół realnych, szczególną uwagę zwróciło na języki nowożytne. Wykład ich, według nowych przepisów, nie powinien być ograniczony tylko do znajomości gramatyki, lecz mieć jednocześnie praktyczne zastosowanie. Niemiecki język ma się rozpoczynać od klasy I-ej, francuski — od II-ej.

— Zasadnicze przepisy o szkołach przemysłowych ostatecznie są już zatwierdzone.

— Poddano pod rozwagę ministeryum komunikacyi projekt egzaminów dla służby ruchu na kolejach, tudzież urządzenia kosztem towarzystw kolejowych kursu dla tejże służby.

— *Now. Wr.* pisze: „Programy wykładów w gimnazyach klasycznych podlegają obecnie ścisłej rewizyi. Wogóle losy owych programów są dosyć smutne; jakoś nie mogą one trwać długo. Od czasu zaprowadzenia w gimnazyach i progimnazyach ustawy z r. 1871, programy ich były poddawane rewizyi w r. 1874 i 1877 i za każdym razem ulegały znacznym zmianom. W r. 1877 dodano klasę 8-ą, powiększono liczbę godzin języków starożytnych do 13 tygodniowo, zaprowadzono nowy przedmiot — logikę i zupełnie zreformowano wykład historyi i fizyki. Wbrew jednak oczekiwaniu nowe programy nie wydały zbyt świetnych rezultatów. Klasycy zaczęli wstępować do uniwersytetów o kilka lat później skutkiem wykuwania wyjątków stylistyki łacińskiej, tudzież skomplikowanej metryki poetów greckich. W głowach tworzył się chaos luźnych wiadomości i tylko niewielu wynosiło dokładną znajomość przedmiotów ogólnie kształcących. Teraz znów utworzono komisyę w celu zrewidowania programów gimnazyów klasycznych. Tym razem postanowiono zwrócić baczną uwagę na metody wykładu przedmiotów gimnazyalnych, ponieważ od tego zależy, czy uczeń otrzyma jasne pojęcie o wykładanym przedmiocie, czy też będzie go „wykuwał“ z podręczników. Komisya dzieli się na kilka sekcyj.

Zjazdy. W Charkowie zwołano czternasty zjazd przemysłowców górniczych w Rosyi południowej. Główne sprawy: urządzenie składów paliwa mineralnego i soli, budowa dróg podjazdowych do kopalń i zakładów górniczych, rozwój floty handlowej dla przewozu po wybrzeżach węgla, przyciągnięcie robotników z pomocą kas zasiłkowych.

— W Kijowie odbędzie się w r. p. zjazd właścicieli lasów w gub. południowo-zachodnich.

— Istnieje projekt zwoływania peryodycznych zjazdów młynarzy.

— W Paryżu odbył się międzynarodowy zjazd techniczny, na którym oświadczono się za wzmocnieniem kierunku technicznego w wychowaniu szkolnem oraz tworzeniem jaknajwiększej liczby średnich zakładów rzemieślniczo-przemysłowych.

Wystawa. D. 20 b. m. otwarto w Warszawie wystawę szkiców w salonie artystycznym malarzy i rzeźbiarzy.

Stowarzyszenia. W Gnieźnie powstaje stowarzyszenie ornitologiczne.

— W W. Ks. Poznańskiem rolnicy zakładają własne stowarzyszenie spożywcze za pieniądze pożyczone z banku.

Muzeum drobnego przemysłu powstaje w Symbirsku.

Zakaz. W bufetach stacyjnych z rozporządzenia ministra komunikacyi wzbroniono używania do potraw oleomargaryny.

Kasę pożyczkowo-wkładową wyłącznie dla pracujących na prawach wolnego najmu zakłada główne Towarzystwo ruskich dróg żelaznych.

Spółka wywozu mięsa za granicę wkrótce rozpoczyna swoje czynności.

Trzeci przytułek noclegowy otwarto na Pradze.

Nowa fabryka. Za rogatką Belwederską puszczono w ruch pierwszą w kraju parową fabrykę filców na kapelusze męzkie i damskie. Założycielem jest krajowiec.

Główny Zarząd poczt i telegrafów zawiadamia, że wszelka korespondencya do Jerozolimy powinna być adresowana i kierowana na Odesę.

Proces, wytoczony we Lwowie rodzinie Degenów, studentom Kistjakowskiemu i Marszyńskiemu, tudzież dziennikarzom Iwanowi Franko i Pawlikowi, został umorzony.

Nagrody. Cesarska Akademia nauk przekazała uniwersytetowi w Tomsku premium z zapisu Sibiriakowa, które ma być przyznawane co trzy lata za najlepsze prace historyczne o Syberyi.

Wynalazek. Inż. Drzewiecki wynalazł motor do poruszania łodzi podwodnych, mogących płynąć 10 wiorst na godzinę.

Książki ludowe. W. Olszewski, *Bajki nie bajki*, z różnych autorów, str. 70, Warszawa.

— Iskierka, *Młyn na pokusie*, str. 72, Warszawa.

— B. Prus, *Michałko*, str. 35, Warszawa.

Bibliografia. H. A. Roscoe, *Chemia* (wydawnictwo popularne), str. 128, Warszawa, Gebethner i Wolff.

— J. Todhuter, *Algebra początkowa*, tłom. W. Kwietniewski (wydawn. *Przeglądu pedagogicznego*), str. 800, Warssawa.

— A. Guillemine, *Siły przyrody*, zeszyt 6—11.

— K. Estreicher, *Bibliografia polska*, tom XI, zeszyt 1, 2 i 3, str. 372. Kraków.

Zmarli. Cobet, znany niegdyś filolog na wszechnicy lejdeńskiej.

— Dr. Gustaw Rümelin, polityk i uczony niemiecki w dziale społeczno-ekonomicznym.

— Winterfeld, w Berlinie, powieściopisarz niemiecki.

— Dr. Ryszard Adolf Gosche, profesor języków wschodnich w Halli.

— Dr. Karol Urlichs w Würzburgu, pisarz w zakresie historyi sztuki i archeologii.

— Lambert de St. Croix, kierownik kilku pism w Paryżu.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu H. R. w Petesrb. 1) Pisma takiego niema. 2) Przez nas wydana, z polskich najlepsza.

Lud Lub...i. Pomijając inne braki, wiersze Pańskie nie mają żadnego rytmu.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 10 Ноября 1889 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.